Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1892. Rok XV.



PRENUMERATA ROCZNA: marek 6 złr., 5 rs. 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

IX.

(Domówienie.)

W omówionym tu szeregu dawnych naszych zwierząt łownych nie zamyka się bynajmniej ich poczet, owszem, wiele jeszcze gatunków, zwierza pozostałoby do omówienia, zwierza, który jeżeli jeszcze dotąd nie wyginął, to bezsprzecznie znajduje się na liście zatraty, stanowiąc w chwili obecnej w niektórych dzielnicach ziem naszych, rzadką już tylko zdobycz łowiecką.

Ale rocznik „Łowca“ dobiega kresu, czas więc pożegnać łaskawego czytelnika po żmudnej wędrówce, wśród odwiecznych puszczy, gdzie beczały i jęczały kolosy naszych kniei, i gdzie się kryły wymarłe nasze drapieżce — wśród owych stepów i jarów Ukrainy, Podola i Pobereża, przez które zaganiały się hordy dzikich naszych sąsiadów. Niech mi jednak wolno będzie wspomnieć jeszcze choćby w ogólności o jednym czynniku, ważnym dla lepszego zrozumienia raptownych zmian, jakim fauna łowiecka ulegała, i naszkicować bodaj bardzo powierzchowny obrazek charakteru, mody i amatorstwa łowieckiego, jak się ono u nas w ciągu wieków objawiało.

Z chwilą ukazania się narodu naszego na widowni dziejów, wrzała jeszcze niezawodnie w ciemni borów, wśród osad z rzadka po puszczy rozsiedlonych, walka pomiędzy człowiekiem i zwierzem, którą określić można słowami: *Mors tua vita mea*. Jednak ten charakter łowów trwał niedługo, a łowiectwo, stawszy się wnet przywilejem panującego i prowadzone potężnymi środkami, na jakie się tylko możni zdobyć mogli, wyrodziło się w zajęcie i zabawę tych, którzy pod skrzydłami korony do znaczenia i bogactw dochodzili.

Zamiłowanie myśliwskie, tkwiące zresztą głęboko w naturze ludzkiej, udzielało się coraz dalej ku dołowi, *et ad regis exemplum totus componitur orbis*. Przestawszy należeć do koniecznych zajęć człowieka, podejmowanych w imię wyżywienia i obrony własnej, kształtowało się w rycerską zabawę klasy uprzywilejowanej, gdy na gruncie upadłego państwa rzymskiego rozsiadło się w środkowej Europie odnowione imperium w postaci ogromnego państwa Karola Wielkiego.

W państwie tem, którego urządzenia nie mogły pozostać bez wpływu i dla ziem naszych, po raz pierwszy ułożono ustawę łowiecką, a o ile cenioną była przez samego monarchę nauka łowiectwa, udowadnia fakt, iż w szkołach

uczono młodzież nauki łowiectwa i czytywano poemat mało dziś znany Marka Aureliusza Nemezyana, żyjącego w Kartaginie w 3. wieku przed Chr., „Kynegetica“. W poemacie tym zawiera się nauka chowu psów myśliwskich, ustęp o koniach i przyborach do łowiectwa. Każde słowo tego dziwnej treści poematu zdradza, że poeta był zarazem doskonałym myśliwym, a poemat jego, spopularyzowany w ten sposób, przekazał ludom Europy, które wystąpiły teraz na widownią polityczną, wiele sposobów łowieckich, znanych już Rzymianom. Zatem i na tem polu kultura Rzymu nie została bez wpływu na rozwój późniejszych narodów Europy.

„Kynegetica“ to dzieło niewielkie, obejmujące w małej oktawie stronic 15., zawiera w części dydaktycznej wiele rzeczy ciekawych, a opisy psów, straszaków i sieci są tam tak doskonałe, iż dziś jeszcze z podobnymi w specyalnych dziełach spotkać się można. Natomiast tak powszechne u narodów środkowej Europy sokolnictwo, rozwinięte z całym przepychem na dworach możnych, nie było starożytnym znane. Naturaliści owych czasów, słysząc o tym sposobie łowiectwa u ludów na północy, posądzają myśliwych o jakąś czarodziejską zmowę z ptakami, niemogąc sobie rzeczy inaczej wytłumaczyć.

Jakkolwiek sokolnictwo samo przez się nie mogło przyczynić się do wyniszczenia zwierza łownego, gdyż były to tylko świetne harce, połączone z nieznacznym rozlewem krwi ptasiej, to jednak na gruncie tym wytwarzały się na dworach panującego i możnych panów całe zastępy i armie myśliwych, zaprawiało się oko i siła do łowów na grubego zwierza, a orszaki sokolnicze, w których i damy brały udział, przebiegając teren łowiecki, przepłaszały tylko zwierza w jego ostojach, nim w sporcie tym, niewinnego na pozór harcu za czaplą lub żurawiem, nie urośli odważni pogromcy potężnych zwierząt puszczy.

Romantyczną krotochwilą z sokołem rozpoczęty dramat łowieckiego żywota rozwijał się coraz dalej i w zapale łowieckim koronował się krwawym epilogiem, bądź w kniei bądź w walce z najezdnikiem.

Udoskonalenie palnej broni, a zresztą wszechwładna moda, rugowały powoli ów zapał sokolniczy, chociaż długo jeszcze, bodaj dla zwyczaju, utrzymywano sokoły na dworach pańskich i długo jeszcze posiadanie sokoła oznaczało szlachcica, jak szabla lub szpada przy boku.

W 16. wieku dochodzi amatorstwo łowieckie do kulminacyjnego punktu. Bez liku jest w ówczesnej Polsce Akteonów, którzy, jak mówią współcześni, nie mają chleba i pożyczanym żyć muszą, bo im go zjadły psy gończe. Po dworach pełno psów i do myślistwa przydatnego ptactwa, więcej sokołów po kojcach niż kur i gęsi, więcej psów, niż bydła w oborze (Witkowski).

Los takich Akteonów, chcących naśladować wielkich panów, nie mógł być pociesznym. Pod chłodnem i często chmurnem niebem Sarmacyi, Akteon nie spotykał w ciągłych swych wycieczkach myśliwskich kąpiącego się orszaku powabnej bogini łowów, nie mogła się zatem dokonywać tu metamorfoza pod wpływem kropel parteńskiego zdroju, lecz rozgorączkowany Sarmata grzązł bądź „w jeziorzystej Wielkopolski wodach“ bądź utykał „w komeszach zapadłego Polesia“ bądź trafiał w głębi puszcz na zawory, a zmagając to wszystko z nadludzkiem męstwem, tracił mienie i wiele bardzo czasu, nieład zaniedbanego gospodarstwa posuwał się coraz dalej, aż wreszcie trzeba się było ojcowizny pozbyć, a zgłodniałe psiska już nie swego przemienionego pana i nie na klasycznym kithuronie, ale chyba jeden drugiego na opuszczonem zjadły podwórzu.

Ks. Aug. Bieskierski w r. 1632. na pogrzebie jednego z takich Nemrodów, ubolewając nad powszechną manią łowiecką, woła: „Aliści Pana po chwili pieskowie zjedzą“ i prorokuje łowcom ówczesnym tragiczny koniec ucznia Chirona.

Lecz „nim tłusty schudnie, chudego dyabli wezmą“ — mówi przysłowie. To też i w tym wypadku chudy myśliwy, który według dawnego przysłowia „gdy raz myśliwskiej polewki zakusi, już ten językiem ich mówić musi“ — straciwszy swoje, szedł wysługiwać się na dwory tych, którzy długo jeszcze mogli utrzymywać zbytkowne orszaki łowieckie, i dalej rozlegały się gony psów i strzały myśliwych po kniejach, bez baczenia na to, co się stanie z tępionem bez opamiętania zwierzem.

Ciągłe i powszechnie z chorobliwą namiętnością praktykowane łowy ogołociły nowet sławne ze swej zwierzyny knieje dóbr koronnych, a nawet w Litwie, w tym mateczniku zwierza, w miejscu ulubionem łowów królewskich, okazywać się począł gwałtowny ubytek zwierza w ogóle. Sławne niegdyś knieje Rudnickie nad Mereczem, w których ongi wyprawiał łowy wspaniałe Kazimierz Jagielończyk, gdzie polowali Zygmunt, Z. August, Zygmunt III. i Władysław IV., i gdzie był zamek myśliwski królów (Narbutt „Dzieje Litwy“), z którego okien bito łosie i niedźwiedzie, pędzone obławą nad brzeg Mereczanki, opustoszał po takich łowach do tego stopnia, iż w czasach późniejszych, sławny ongi ze zwierzyny ostęp, zwany dlatego „Ogrodem królewskim“, tu już więcej dostojnych myśliwych nie nęcił.

Pozostała do dziś dnia nazwa, ale nie ma królewskiej zwierzyny, nie ma łosi i niedźwiedzi, nie ma ich od dawna.

Ale zapał myśliwski nie ostygał, skoro chory i nie mogący się poruszać Władysław IV. w chwili, gdy marszałek Kazanowski targował się w ważnej bardzo sprawie z królową Maryą Ludwiką, – (chodziło tu o pozyskanie funduszów na zamierzoną po cichu przez króla wyprawę na Turków, w której się miały ziścić śmiałe zamiary tego króla) — kazał się wynieść do zwierzyńca Ujazdowskiego i tam z ptaszniczki siedząc strzelał w braku czego innego — króliki!

Jakby na pocieszenie po stracie syna Zygmunta, król ten w puszczy Grodzieńskiej w Iziorze wyprawia istne mordowanie łosiów. Pada tu zaraz w pierwszych początkach łowów 38 sztuk łosiów (Desnoyers Pamiętnik). Po forsownych łowach w puszczy Rudnickiej umiera Władysław IV. w r. 1648., jak gdyby kończąc swe życie łowami.

Coraz to większy natłok cudzoziemców na dworach późniejszych monarchów, podróże możnych po zachodnich krajach Europy, wprowadzały coraz większy zbytek i okazałość w łowach, i gdy zwierza ubywało, gdy rzadły knieje, to pokrywał wszystko splendor zewnętrzny, na wzór słynnych wówczas z wykwintności łowów Ludwika XIV., lub oryentalna pompa.

Z 500 jańczarami polował Sobieski w ulubionej puszczy Kampinowskiej na Mazowszu, gdzie podówczas jeszcze najwięcej znajdowało się grubego zwierza. Opisy przyborów myśliwskich z owych czasów na dworze Stanisława Lubomirskiego dają pojęcie, jakich ogromnych kosztów wymagało ówczesne łowiectwo magnata. Do małego łowiectwa szlachcica potrzeba było 8 koni, 3 myśliwców, 3 szczwaczy, 4 psiarzy, 4 chłopców a ogarów 15 sfor (Gospodarstwo jeździeckie, strzelcze i myśliwskie) i wszystko to dlatego, „aby Pan nie potrzebował wołu zabijać, a szlachcica aby psy zjadły“.

Coraz to większe udoskonalenie broni palnej i zastosowanie jej do myśliwstwa, co, mówiąc nawiasem, stosunkowo

bardzo późno weszło u nas w ogóle w życie, i brak wszelkich ustaw ochronnych w właściwem tego słowa znaczeniu — gdyż nawet stare prawo Jagiełły: ne captis parentibus et ipsa proles intereat, istniało chyba na papierze, — dokonały już w krótkim czasie w przerzedzonej kniei zmian, na jakie zdobyć się nie mogły ubiegłe wieki, wieki wilczych dołów, nasadek, nawiązek, ogródków, okopów, parkanów, pastek, sieci, sypełek, trokówek wników, wygród i tysiącznych samołapek przy pomocy łuków, kusz, arkebuzów, półhaków, berdebuchów i t. p.

Skałkówka, ten tak naiwnie dla naszego oka wyglądający instrument morderczy, dokonała doraźnego na polu praktyki łowieckiej przewrotu.

Głos wielkiego myśliwego, wojewody Ostroroga, przemawiającego u schyłku 16-go wieku za ochroną zwierzyny, przebrzmiał bez echa, a wszelkie prawa, o ile strzegły zwierzynę jako własność, o ile ograniczały czas łowów ze względów uszkodzenia przy łowach ziemiopłodów na pniu, o tyle były obojętnymi na ochronę zwierzyny dla niej samej. Monstrualne wyobrażenia o wolności nie zniosłyby w praktyce ograniczeń dobra prywatnego, za jakie uważano zwierza; polowano więc zawsze i wszędzie, a nawet w ostatnich chwilach Rzeczypospolitej, ustawy sejmu extraordynaryjnego z 1773, 1775. i zabraniając polowań w porze nieprzyzwoitej t. j. od 1. marca do 1. września, umieszczają zarazem i wieloznaczący dodatek: „to zaś prawo bynajmniej dziedzicom praejudicare“ nie ma, którym wolność polowania w każdym czasie zostawuje się“. Trudno zrozumieć, kogo właściwie owe prawo ochronne obowiązywać miało, jeżeli niemal wyłącznym właścicielom prawo polowania t. j. dziedzicom pozostywiono nadal dowolność w tym kierunku. Prawa łowieckie innych klas społeczeństwa były tak rzadkie i tak ograniczone, iż trudno było spodziewać się polepszenia stosunków łowieckich, skoro ochrona tylko tutaj zastosowania znaleść miała.

Starania pojedyńczych, skierowane ku polepszeniu stosunków łowieckich, nie mogły tu wiele zdziałać, a z natury rzeczy wynika, iż gdzie nie było obowiązującego wszystkich prawa państwowego, tam dorywcza opieka jednostek tylko nieznaczne ślady w polepszeniu lokalnych stosunków pozostawić mogła. Tymczasem na zegarze dziejów zbliżyła się chwila, wstrząsająca całem społeczeństwem, a wobec ogromu wypadków, nieszczęść i nadziei, wypłynęły na widownię kwestye, wśród których stosunkowo małoważne sprawy ekonomiczne utonęły w długiem zapomnieniu.

Lecz po zawodzie orężnych wysiłków, pozostała nie rozpacz, tylko droga pracy kulturnej w szeregu cywilizowanych narodów Europy. Nie tu miejsce grzebać w nazbyt znanych przejściach i ranach niezabliźnionych, to pewna jednak, że stały się one powodem zastoju, zatem i zacofania na polu ekonomicznem, a w szczególności w skromnej tej gałęzi, której do niedawna jeszcze nie chciano przyznać praw bytu, mieniąc myśliwstwo tylko małej wagi rozrywką możnych, na której społeczeństwu nie tylko że nic nie zależy, lecz owszem zwalczać go potrzeba jako szkodliwy dla reszty społeczeństwa nałóg. Jednak prawda, której w tym wypadku nie mogą rozświecić żadne filozoficzne spekulacye rzekomych reformatorów społeczeństwa, ogłaszających przy zielonym stoliku urbi et orbi swe wyroki, okazała się dopiero w całej pełni, gdy ścisła wiedza przyrodnicza podciągnęła i łowiectwo pod swój krytyczny skalpel.

Dzięki temu uznał już cały świat cywilizowany, iż łowiectwo, ujęte w rozumne i do stosunków zastosowane karby, nietylko nie jest szkodliwe innej kulturze, ale stanowić powinno znaczną gałęź produkcyi ziemiańskiej. Chór nieprzyjaźnych, a najczęściej tendencyjnych głosów, odzywa się i u nas od czasu do czasu, i na zachodzie jeszcze nie przebrzmiał, a tymczasem łowiectwo, ujęte w ustawy zastosowane do chwili i wymagań ogółu, jako niełatwa już po dziś dzień nauka, kroczy pośrednią drogą, czyniąc o ile możności zadość majestatowi praw natury, i w ogół wszczepia się coraz głębiej przekonanie o szlachetnych dążnościach nowoczesnego łowiectwa.

Szlachetnem zwało się ongi łowiectwo, jako zajęcie wolnych ludzi, w których tlała bohaterska żądza pokonywania groźnych przeszkód natury. „Gwałt niech się gwałtem odciska“ — to dewiza zdumiewających czynów, jakie nam dawne tradycye w kulcie Dyany przekazały. Otóż i nowoczesne łowiectwo jest szlachetnem, ale z innego względu, z tego, że tkwi w niem piętno pracy kulturnej, pracy skierowanej na korzyść całego społeczeństwa, w której samo wykonywanie łowów usuwać się będzie coraz bardziej do rzędu nieuniknionych obowiązków zawodu, podczas gdy na pierwszy plan wypłyną nieznane staremu łowiectwu kierunki.

Z każdym rokiem nieubłagane prawo przerzedza szeregi tych, w których żyją jeszcze wspomnienia innego łowiectwa, innych czasów, w których uszu drgają jeszcze echa sarmackich rogów i gra sławnych polskich ogarów.... Dźwięki tej zamarłej, głuchnącej coraz bardziej muzyki przeszłości, przebrzmią wkrótce, zatrą się coraz bardziej dawne wspomnienia, ale miejmy nadzieję, że zato błogosławieństwo użytecznej dla ogółu pracy złagodzi tęsknotę i żal za rajem utraconej przeszłości łowieckiej.

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

Nad brzegami Kingani i Wami.

Leży przed nami książka dwutomowa, bardzo pięknie wydana, lecz jeszcze piękniejsza co do swej treści. Zebrano w niej „Listy z Afryki“ Henryka Sienkiewicza (Warszawa nakładem „Słowa“ 1893). Znakomity powieściopisarz odbył w lutym r. 1891 wycieczkę do Zanzibaru, a stamtąd do Bagamojo i na zachodnie wybrzeże Afryki, na ląd, położony między rzekami Kingani i Wami. Złośliwa febra błotna zmusiła Sienkiewicza przerwać podróż w Gugurumu, i wrócić do Zanzibaru, a następnie corychlej do Europy, bo groził mu trzeci atak febry, zazwyczaj śmiertelny. Mimo to

widział w swej wycieczce niejedno godne widzenie, a to co widział, opisał tak, jak on tylko opisywać umie. Pierwsze to dziś pióro w piśmiennictwie polskiem, które umie widoki ziemi przelewać tak na papier, jak niejeden pędzel tego nie potrafi. W opisach jego żyje wszystko, nęci barwami, pławi się w słońcu, rośnie, rusza się — a to bez wielkiego wysiłku słów, bez wszelkiej zda się sztuki opisywania, często kilkoma dosadnymi wyrażeniami scharakteryzowane. Połyka się też książkę Sienkiewicza z równem zajęciem jak powieść, a podziwiając sztukę patrzenia i odtwarzania wrażeń, zyskuje się w końcu obrazy Egiptu, Adenu, Zanzibaru, sylwetki misyonarzy, i różnych plemion afrykańskich, tak żywe i tak wbijające się w pamięć, jakich czytanie całego stosu innych opisów podróży w umyśle czytelnika nie pozostawi.

Oto kilka utępów z wycieczki nad brzegami rzek Kingani i Wami, budzącej żywy interes myśliwski.

* * *

„...Słońce staczało się zwolna ku haszczom; rzeka przybierała barwę świecącej miedzi. Nasi ludzie stali wzdłuż brzegu, rozprószeni na małe grupy, rozprawiając głośno, jak zwykle rozprawiają murzyni. Ponieważ horyzont jest tu wyjątkowo niski, przeto niemal całe ich postacie rysowały się na tle nieba, skutkiem czego wydawali się bardzo wysocy. Poszedłem do namiotu, by wydać na wieczerzę, przy której kucharz nasz M'sa, miał po raz pierwszy popisać się ze swoim kulinarnym talentem, ale wróciłem niebawem na brzeg, gdyż w jednej z grup poczęto wołać! „Mamba! mamba!“ (krokodyl). Przy wieczornem świetle nie mogłem nic dojrzeć, choć murzyni pokazywali mi palcami miejsce, w którem krokodyl miał się znajdować. Widziałem tylko coś, jakby ciemną plamę przy brzegu, ponieważ jednak słońce już zachodziło i krze nadbrzeżne rzucały wydłużone cienie na rzekę, cała jej powierzchnia popstrzona była w pasy ciemne, złotawe i miedziane. Miałem żywną ochotę strzelić po raz pierwszy w życiu do krokodyla — ale tymczasem świat zmierzchł nagle, rzeka zagasła i noc nadeszła tak szybko, jak tylko pod równikiem nadchodzi.

Poborca czuł się bardziej chory i poszedł pocić się pod namiot, co mu zresztą musiało pójść łatwo, gdyż gorąco tam było, jak w łaźni. My dwaj zasiedliśmy do wieczerzy, złożonej z konserwów i herbaty, gdy naraz, od rzeki, doszedł nas plusk wody i chrapanie. To hipopotamy usuwały się już w górę rzeki przed napływającą z oceanu słoną falą. Porwawszy strzelby, pobiegliśmy do worów z solą, złożonych nad samym brzegiem i zasiadłszy na nich, staraliśmy się coś rozeznać w ciemności. Przez chwilę panowała zupełna cisza, potem znów rozległo się chrapanie i ciężkie oddechy, podobne do stękania. Zdawało się to bardzo blisko, zaledwie o kilkanaście kroków, ale noc była bezksiężycowa, wszystko zlewało się w wielkie ciemne masy i żadnych określonych kształtów niepodobna było wyróżnić. Przy brzegach czarno było, jak w piwnicy, środkiem leżały na rzece wielkie żelazne plamy, po których przebiagały od czasu do czasu nieco błędne błyski, spowodowane widocznie przez ruch fali, poruszanej przez hipopotamy. Plusk wody i stękania rozlegały się w głębokiej ciszy coraz wyraźniej. Czuć w nich było ociężałość i lenistwo wielkich mas mięsa; zdawało się, że olbrzymie zwierzęta stękają z wysilenia i że z trudem przychodzi im dźwigać swoje ogromy w górę rzeki. Z początku słyszeliśmy te odgłosy tylko w dwóch miejscach, potem nadpłynęło widocznie jeszcze kilka hiposów, bo pomruk i westchnienia odzywały się ze wszystkich stron i trwały ciągle, jakby cała gromada uznała za stosowne nie posuwać się dalej. Siedząc na worach i tamując oddech, wpijaliśmy chciwie oczy w ciemność, by choć cokolwiek rozeznać. W błotach, po drugiej stronie, zagrały chóry żab jakiemś dziwnem rzechotaniem, podobnem do głosów ludzkich. Była to, jakby niespokojna, spieszna rozmowa we wsi, w której się coś stało, ale nikt nie wie dobrze co i jeden przez drugiego gorączkowo wypytuje. Można było przysiądz, że się słyszy podniesione głosy ludzkie. Chwilami rozmowa milkła, jakby się zmieniała w nasłuchiwanie — i czyniła się cisza, którą znów przerywało ciężkie stękanie olbrzymich płuc. Było w tem coś potężnego i wychodzącego po za wszelkie warunki, w jakich się człowiek zwykle obraca. Miało się wrażenie jakiejś przedpotopowej, nieprzygotowanej jeszcze pod życie ludzkie krainy, w której wszystko jest dziwne i potworne.

Wpadłem na myśl, czyby nie można strzelać, oświeciwszy rzekę za pomocą drutu magnezyowego, którego duży zwój wzięliśmy ze sobą, mówiono mi bowiem, że hipopotamy nie lękają się światła. Pomysł jednak okazał się do niczego. Drut rozbłysnął wprawdzie na sekundę jaskrawem białem światłem, ale, ledwie zapalony, odrywał się od zwoju, padał na ziemię i gasł, poczem właśnie czyniło się jeszcze ciemniej. Przesiedziawszy na worach jeszcze ze dwie godziny, wróciliśmy wreszcie do namiotu, który oświecony wewnątrz, wyglądał zdala jak papierowa chińska latarka. Na wstępie wyrzuciliśmy ropuchę, która, siedząc między łóżkami, na worku podróżnym, patrzyła na nas osowiałemi oczyma, jakby niezadowolona z naszego widoku. Pod namiotem duszno było, nie do wytrzymania. Podnosimy brzegi i urządziwszy przewiew, położyliśmy się spać, ale komary, które już nad rzeką zasmakowały widocznie w naszej krwi, nie dały nam oka zmrużyć. Gdy i zgaszenie latarki nie pomogło, wyszedłem przed namiot, gdzie przynajmniej przeciągał od czasu do czasu wiatr. Kilka razy zbliżyłem się jeszcze do rzeki, by posłuchać hipopotamów, poczem zasiadłem na myśliwskiem krzesełku, przed namiotem, z postanowieniem spędzenia w ten sposób nocy.

W całem M'toni nie było już ani jednego światła, nie licząc lucioli, które obficie pojawiły się nad brzegiem i latały w ciemności, jakby gwiazdki błędne. Rozmowa żab trwała ciągle. Ludzie nasi leżeli pokotem przy namiocie, z głowami wspartemi na pakach. Mimo upału była w powietrzu taka wilgoć, że ubranie na mnie stało się mokre. Tkwi w tej wilgoci ckliwy zapach błota, które nocą oddaje cały żar, jaki wchłonęło we dnie. Oddycha się tu z trudnością, tętna biją ciężko — i mimowoli czuje się, że tu febra krąży nad człowiekiem, jak sęp nad trupem.

O świcie mieliśmy ruszyć na rzekę. Wsiedliśmy do łodzi właśnie, gdy słońce wyjrzało od strony Bagamoyo na widnokrąg. Dzień czynił się pogodny; mgła znikła bez śladu; gładka toń mieniła się w odbłyski stalowe i różane, jakiemi mieni się muszla perłowa. Potem przyszły poranne promienie słońca, jasne, jakby wykąpane, rozpaliły w skry wielkie krople rosy na trawach i ozłociły rzekę. Kraj, w rzeźwem świetle porannem, wyglądał weselej, niż poprzedniego dnia. Na brzegach, w miejscach, gdzie woda była płytka i cicha, czaple i inne jakieś ptaki, całkiem białe, może warzęchy, przechadzały się poważnie, przeglądając się w przeźroczu. Na niektórych krzakach, pochylonych nad wodą, zwieszały się całe grona gniazd tkaczów' których tyle tu jest wszędy, ile u nas wróbli. Całe ich stada przelatywały z brzegu na brzeg, błyskając pod słońce żółtemi piórami.

Ciężka, żelazna szalupa posuwała się zwolna, chociaż płynęliśmy w dół rzeki. Przez czas jakiś nie widzieliśmy nic, prócz ptaków, gdy nagle, na jakie sto metrów przed łodzią, z gładkiej powierzchni buchnął naprzód słup rozpylonej wody, i tuż potem ukazała się czarna, ogromna, jak kufer, głowa. Po strzale moim, prawdopodobnie chybionym, głowa ta znikła pod wodą, lecz po kilkunastu minutach ta sama, lub inna, znów ukazała się na powierzchni. Przywitaliśmy ją nowemi wystrzałami, poczem, zaledwie zdążyliśmy nabić, ukazały się dwie naraz, w znacznej jednak odległości. Kazaliśmy naszym wioślarzom posuwać się jeszcze wolniej i czynić mniej hałasu, wiosła bowiem chrobotały głośno przy żelaznej łodzi.

Rzeka rozszerzała się coraz bardziej, a nakoniec wpłynęliśmy na wody, rozlane tak szeroko, że tworzyły jakby rodzaj jeziora, na którem już zdala ujrzeliśmy całe stado hipopotamów. Odległość była jeszcze tak znaczna, że miałem czas wziąść szkła teatralne, które przez całą podróż nosiłem na sobie i przypatrywać się do woli.

Głowy leżały płasko, jedne profilem, drugie zwrócone wprost ku nam. W jasnem świetle widać je było doskonale. Gdyby nie grzmiące oddechy, których odgłos dochodził aż do nas i nie rozpylone wodotryski, wybuchające co chwila z nozdrzy, można było, patrząc gołemi oczyma, wziąść te głowy za odłamy czarnych skał, wystających nad wodę. Zbliżyliśmy się jeszcze bardziej. Zwierzęta wreszcie zwróciły na nas uwagę, bo w stadzie uczynił się ruch. Niektóre głowy zanurzyły się cicho pod wodę, inne obróciły się ku łodzi, chrapiąc i strzygąc uszyma. Posuwaliśmy się teraz bardzo powoli, by drganie łodzi nie przeszkadzało strzelaniu. Miałem ze sobą szpringerowski sztucer, kaliber 12, w którego lewą lufkę wkładałem pocisk ekspanzywny na wypadek, gdybym na brzegu lub na mieliźnie ujrzał całe zwierzę i mógł strzelać pod łopatkę — a zaś w prawą, kulę, zakończoną stożkiem stalowym. Do głów można strzelać tylko taką, gdyż ekspanzywna rozbija się na skórze, nie przebijając kości.

Gdy więc chwila odpowiednia nadeszła, strzeliłem do najbliższej głowy z prawej lufki, tym razem z lepszym, niż sądziłem, skutkiem, albowiem zwierzę poczęło burzyć po wystrzale wodę. Przechyliwszy się nieco przez burtę, przypatrywałem się skutkom strzału, gdy zaszedł epizod, który mógł przybrać niebezpieczny dla nas obrót.

Z pod wody wychyliła się tuż przy nas potworna głowa z otwartą paszczą i podniosła się, jakby chcąc chwycić kłami za burtę. Trwało to jedno mgnienie oka, tak, że miałem zaledwie czas zmierzyć. Na nieszczęście, mając myśl nabitą tem, że do głowy można strzelać tylko kulą stalową, pociągnąłem za cyngiel wystrzelonej przed chwilą lufki, gdy zaś Tyszkiewiczowi, siedzącemu z drugiej strony, szerokość łodzi nie pozwoliła strzelić, napastnik uszedł bezkarnie. Uczuliśmy tylko silne wstrząśnienie łodzi, o której wręgę potwór otarł się pod wodą grzbietem, widocznie w tym celu, by ją przewrócić. Wynurzył się on następnie o kilkadziesiąt kroków prawie do połowy ciała i wówczas posłałem mu natychmiast kulę, po której schował się już na dobre.

Gdybyśmy zamiast w ciężkiej i żelaznej szalupie, siedzieli w jakiej lekkiej i wywrotnej pirodze, prawdopodobnie cała podróż nasza skończyłaby się w Kingani, do brzegów bowiem było po obu stronach dość daleko — a przytem w wodach tych znajduje się mnóstwo krokodylów. Nie widzieliśmy wprawdzie podczas tej wycieczki ani jednego, poborca jednak zaręczał, że niepodobieństwem byłoby dopłynąć do brzegu bez spotkania się z nim.

Po dwóch jeszcze strzałach do „kiboko", zabraliśmy się do powrotu z powodu innego niebezpieczeństwa. Oto, gdy słońce wzniesie się już wysoko, promienie jego tak palą i odbicie się ich od wody tak jest rażące, że łatwo dostać uderzenia słonecznego. Godzina była dziewiąta, po której w Afryce trzeba już znajdować się pod dachem namiotu lub w cieniu drzew. W czasie pochodów nie idzie się także dłużej; zwykły dzień karawany obejmuje czas od piątej rano do dziewiątej; przez resztę dnia należy stać i chować się przed słońcem. W razie konieczności jednak, można uczynić drugi marsz od czwartej do szóstej.

W czasie powrotu poborca opowiadał nam, co wiedział, o hipopotamach. Strzał do tego zwierzęcia wydaje się łatwy, a jest trudny, bo naprzód odległość na wodzie łudzi oko, a powtóre, głowa leży zawsze płasko, nie przedstawia więc wielkiej powierzchni do strzału. Niezmiernie także trudną rzeczą dostać po strzale hipopotama.

Żywotność takich potężnych istot jest ogromna i zwierz choćby doskonale trafiony, zawsze znajduje dość siły, by zanurzyć się pod wodę, a następnie wypłynąć w jakimś niedostępnym dla łodzi, zacienionym kącie, wśród zalanych zarośli, gdzie zdycha dopiero po upływie wielu godzin.

Natomiast dostaje się go prawie zawsze, gdy się go strzela w czasie jasnych księżycowych nocy, na lądzie, na który wychodzi dla żeru. Atakuje on wówczas strzelca, zwłaszcza, jeśli się znajduje dalej od rzeki, ale ruchy jego są tak powolne, że atak ów nie jest zbyt groźnym. Murzyni zabijają hipopotamy zapomocą harpuna, najczęściej jednak łapią je w doły.

Wracając, mieliśmy słońce z tyłu, przed sobą zaś rozświecone przestrzenie wody i zarośli. W miejscach, gdzie przez płytką toń przeglądało czerwone dno, rzeka płynęła jakby roztopionym chryzolitem. Podziwiałem przeźroczystość powietrza nad Kingani. Było ono przejasne, a jego głębia poprostu kryształowa. Nie posiadam wzroku wyjątkowo bystrego, a jednak w znacznej odległości widziałem najdokładniej każdy listek, każdą odmianę piór na piersiach wodnych ptaków. Przedmioty dalsze nie wydawały się też wiele mniejsze od bliższych. Perspektywa tu zupełnie inna, niż u nas. To przeźrocze powietrza tłómaczy się, jak przypuszczam, jego wilgotnością. W czasie dalszych pochodów przekonałem się, że naprzykład mokre ubranie, rozwieszone na słońcu, wysycha tu daleko powolniej, aniżeli w naszych klimatach.

Po powrocie nastąpiło śniadanie i sen. Nieco przed czwartą wyruszyliśmy powtórnie na hipopotamy, ale tym razem w górę rzeki. Głowy znów pokazały się dość obficie, raz zaś na ławicy piaszczystej ujrzeliśmy całe zwierzę.

Na strzał było zbyt daleko, ale towarzysz mój odfotografował je, zanim namyśliło się zejść, zdaje się jednak, że z powodu oddalenia, bezskutecznie, albowiem na fotografiach rzeki Kingani, które mi przesłał za powrotem do kraju, nie mogę znaleść hipopotama. Mnie zniecierpliwiło polowanie z łodzi, przed którą zwierzęta ukazują się zbyt daleko i z której strzał jest, z powodu jej ruchu, niepewny. Postanowiliśmy wyjść w suchem miejscu na ląd i posuwać się dalej krzakami. Sposób okazał się dobry.

Wkrótce na zakręcie rzeki spostrzegliśmy dwie głowy, zwrócone ku sobie nozdrzami, zanurzające się i wynurzające co chwila, jakby dla zabawy. Przyklęknąwszy, wymierzyłem z największą starannością i pociągnąłem za cyngiel. Tym razem byłem pewny swego strzału, jakkolwiek na razie nie mogłem ocenić jego skutku.

Jakoż w półtorej godziny później, gdyśmy już wrócili do M'toni, murzyni nasi włóczący się nad rzeką, ujrzeli hipopotama, toczonego na dół przez wody. Tłómacz Franciszek począł wołać:

— *Blessé! Blessé!*

I istotnie zwierz musiał być ciężko postrzelony, dobrowolnie bowiem nie schodziłby w dół rzeki, właśnie wówczas, gdy wszystkie inne, unikając słonej fali, ciągną w przeciwną stronę. Murzyni śledzili go czas jakiś, idąc brzegiem, dopóki nagła ciemność nie przykryła lądu i rzeki.“

* * *

W jednym z rozdziałów daje Sieńkiewicz obraz szczegółowy całej fauny tych okolic Afryki, które zwiedził, maluje niż nadmorski, moczary i zatopy całych obszarów w czasie pór deszczowych t. z. massiki i vouli, tłumy owadów latających, które wpadają do każdego talerza i kieliszka, zjadliwość szkorpionów, dokuczliwość mrówek wszelkiego rodzaju, które wszędzie umią się dostać i wszystko niszczą, bogactwo gadów, żab i jaszczurek, które dzielą z człowiekiem mieszkanie — i tak dalej pisze:

„...Ptaków moc wszędzie nieprzebrana. Rzeczpospolita to bardzo niespokojna, wrzaskliwa, ale najmilsza dla oczu. Aby oddać każdemu, co mu się należy, muszę począć od strusiów. Na pomorzu odznaczają się one tem, czem polskie mosty, to jest, że ich nie ma. Niegdyś było inaczej, przed niedawnym jednak czasem niewyrozumiałym tym ptakom widocznie nie podobał się handel ich piórami, wskutek czego przeniosły się na suchsze, pustsze i obszerniejsze wyżyny, ciągnące się z tamtej strony gór Usagara. Być może także, iż samo pobrzeże było dla nich za wilgotne. Podobno nieco w głębi, na północ od rzeki Wami, można jeszcze czasem spotkać małe stadka, ale i tam nic widzieliśmy nietylko stadek, ale nawet ich śladów.

Ptactwo błotne stanowi prawdziwą ozdobę rzek tamtejszych. W miejscach płytkich, na brzegach, pod zwieszonemi nakształt arkad gałęziami drzew, przechadzają się w cieniu kuligi, kulony, czaple, żórawie, warzęchy, bąki i inne jakieś gatunki, których nazwać nie umiem, jedne o upierzeniu śnieżno białem, inne różowawe, pstre lub wrone. Żywe kolory ich piór wdzięcznie odbijają się w zacienionej wodzie, nadając krajobrazowi zarazem dziewiczy i egzotyczny charakter.

Właściwych wodnych, to jest kaczek, gęsi i nurów, mniej jest, niż brodzących. Z ziarnojadów w gajach i w kępach drzew często trafia się pentarka, niczem nie różna od hodowanej tu i owdzie w naszych kurnikach. Nie spotykałem tam jednak nigdzie tych ptaków w stanie swojskim, jakkolwiek po wsiach murzyńskich trzymają dużo drobiu, a zwłaszcza kur. Prócz pentarek, strzelaliśmy w drodze ptaki wielkości indyczek, tylko daleko wysmuklejsze, o szarem upierzeniu i na wysokich nogach. Przed zerwaniem się, które, tak jak i dropiom, nieprzychodzi im łatwo, chroniły się szybką ucieczką na piechotę. Rosół z nich smakował nam lepiej, niż pentarek.

Na pojedynczych wielkich drzewach widywaliśmy tukany, albo ptaki wielce do nich podobne, z potężnemi pustemi wewnątrz dzióbami. One to właśnie nawoływały się głosami, podobnemi do miauczenia kotów. Były nader ostrożne i z trudnością dały się podchodzić. Trzeba je było strzelać bardzo z daleka, co prowadziło za sobą częste pudła.

Murzyni, których bawi strzelanina, a którzy posiadają w ogóle wzrok niezmiernie bystry, pokazywali nam co chwila nowe ptaki, wołając: „ndege! ndege!“ (ptak). Zdaje się, że tem mianem oznaczają wszystkie skrzydlate istoty.

Do najpiękniejszych ptaków w tej części Afryki należą tak zwane przez misyonarzy „wdowy.“ Drobne ich ciało okryte jest pierzem czarnem, połyskliwem, natomiast główka, gardło, grzbiet i długie zwieszone piórka w ogonie mienią się wszystkiemi barwami drogich kamieni i ptaszyna wygląda coraz inaczej, stosownie do tego, jak na nią pada światło. Papugi zielone, zwłaszcza tak zwane nierozdzielne, są tu bardzo pospolite; szare, z czerwonemi głowami, widziałem tylko w stanie swojskim, pochodzą one bowiem z okolic bliższych wielkim jeziorom. Zarośla roją się od ptaków, podobnych do naszych sojek i krasek, o piórach przeważnie błękitnych; koło wioski zdarzyło mi się strzelać biało-ceglaste gołębie, tak małe, jak nasze dzierlatki. Nieznanych w nauce gatunków jest tu jeszcze mnóstwo, na dowód czego mógłbym przytoczyć, że z egzemplarzy, przywiezionych przez mego towarzysza, ornitolodzy zaledwie kilka umieli nazwać.

A ileż dopiero musi być takich, o których nikt nie słyszał, między owym drobiazgiem, kręcącym się w trawach, oczeretach i głębiach zarośli. Są kraje śliczne, jak naprzykład Rywiera włoska, które jednak, po dłuższym pobycie, sprawiają smutne wrażenie z powodu zupełnego braku ptaków. Afryka, a przynajmniej ta jej część, o której mówię, na ich brak uskarżać się nie może. Jej lasy, gaje i stepy żyją; wzrok podróżnego spostrzega wszędzie ruch i kolory, a uszy napełniają się świegotem i pokrzykiwaniem, któremi kraj brzmi od rana do wieczora.

Przechodzę do zwierząt ssących. W pochodach mało się ich widuje. Murzyni ciągną długim sznurem, to śpiewając, to nawołując się wzajemnie i płoszą wszystko, co się znajduje na drodze. Zresztą, wszelki zwierz unika i tak ścieżek, któremi ciągną karawany. Chcąc polować, należy rozbić namiot gdzieś przy wodzie, zdala od dróg i wiosek, w okolicy pustej, lesistej i stać na miejscu przez kilka tygodni. Wówczas dopiero nabiera się przekonania, że cały ten kraj wygląda, jak olbrzymi ogród zoologiczny. Jednakże niektóre gatunki, zbyt natarczywie przez ludzi ścigane, cofnęły się od wybrzeża w niedostępne głębie środkowych lasów. Słoni, których całe stada żyją jeszcze na stokach Kilima-Ndżaro, nie ma wcale w okolicach przyległych do oceanu. Bawoła nie spotkaliśmy ani jednego, może z tej przyczyny, że w tym właśnie czasie wyniszczyła je jakoby zupełnie epidemia. Zresztą jest to zwierz dość jeszcze pospolity. Tylko hipopotamom dobrze zawsze na pomorzu, to też zamieszkują setkami wszystkie rzeki, kąpiąc się i igrając cały dzień, a wychodząc na żer w nocy. Murzyni mało na nie polują. Ze skóry hipopotamów robią wprawdzie w Zanzibarze laski; kły zastępują poniekąd do wyrobów kość słoniową, nie są to jednak artykuły zbyt poszukiwane w handlu i z tego powodu zwierz, mało tępiony, rośnie i mnoży się w spokoju. Czasem, w chwilach złego humoru, przewraca jaką pirogę murzyńską i przecina kłami czarnych, ale najczęściej, ukryty pod wodą, puszcza sobie wesoło nosem bańki i fontanny, bardzo ze swego losu zadowolony. Na stepach i na podgórzach mieszkają liczne gatunki antylop. Z tych antylopa-krowa przechodzi wielkością naszego łosia. Uzbrojona jest w potężne rogi, skręcone przy nasadzie, jak śruba, dalej proste. Na polowaniach może być niebezpieczna, ranna bowiem rzuca się na strzelca. Na nieszczęście dla siebie, zatrzymuje się przed nim na pięć lub sześć kroków, aby się oddać zdumieniu – zapewne nad własną odwagą. Wówczas

należy jej koniecznie w łeb strzelić, inaczej bowiem rzuca się powtórnie i nadziewa myśliwca na rogi.

Najniebezpieczniejszym jednak, nie licząc słonia, jest afrykański bawół (*Bos Cafer)*: uderza on częstokroć na człowieka, nawet niezaczepiony; czasem atakuje całe karawany, powodując w nich niesłychane zamieszanie. Serpa-Pinto pisze, że w niektórych częściach Afryki ścieżki karawanowe są usiane mogiłami ludzi, zabitych przez bawoły.

Nosorożec jest także swego rodzaju paliwodą, choć ostatecznie, mimo ogromu i siły, jest to figura humorystyczna, wygląda bowiem jakby miał szlafrok na wyrost i jakby go opadały pewne, poniżej leżące, części ubrania. Ta ostatnia okoliczność tamuje jego ruchy. Po pierwszym strzale ratuje się ucieczką, poczem rzuca się nagle i zapalczywie na napastników, ale z powodu przyrodzonej głupoty, atakuje pierwszy lepszy przedmiot. Kamień, termitiera, krzak, drzewo — wszystko mu jedno: co na placu, to nieprzyjaciel! Nosorożce trzymają się zawsze zdala od ścieżek i w ogóle rzadkie są już na pomorzu, a raczej są tylko przechodnie, najczęściej stare samce, które wskutek nieporozumień domowych zmuszone zostały szukać sobie spokoju z tej strony gór.

Wracając do antylop, prócz owej wielkiej, o której wspomniałem, żyje antylopa bejsa, dochodząca do rozmiarów naszych jeleni. Antylopy skoczki przebiegają stepy w stadach po kilkanaście sztuk. Nazwę swą zawdzięczają temu, że pasąc się, podskakują ustawicznie, jakby podrzucane sprężyną. Najpospolitszą jest antylopa „gnu", mająca kształty konia, a głowę byka. Jest to zwierzę z pozoru dość straszne, o dzikiem spojrzeniu i strasznym łbie, w rzeczywistości jednak łagodne i płochliwe. Istnieje również gatunek antylop, spędzających większą część życia w wodzie. Nakoniec w lasach, leżących w pobliżu jezior, żyje antylopa karłowata (*nans ragus*), prawdziwa miniaturka w rodzaju antylop, smukła, zgrabna, nie większa od pokojowego pieska. Była ona niegdyś pospolitą i w Zanzibarze.

Na północ od rzeki Kingani, niedaleko od ujścia, widziałem na błotach, przez które wypadło mi przechodzić, ślady całych stad zebr. Czasem, w pochodach, murzyni pokazują na odległych wzgórzach coś, co zdala, w słońcu, podobne jest do suchych, obnażonych z kory i liści drzew. Gdy jednak karawana zbliży się na wiorstę lub więcej, mniemane one drzewa zaczynają się kołysać, poruszać i w krótce giną między gajami akacyi. Są to żyrafy. Rzadko spotyka się je pojedynczo, najczęściej po kilka lub kilkanaście sztuk. Odznaczają się one wielką czujnością, tak, że łowy na nie liczą tu do najtrudniejszych.

W zwierzęta gryzące ta część Afryki jest dość ubogą. Nie widzieliśmy wcale zajęcy, które, jak słyszałem, są dość liczne w kraju Somali; króliki też nie stanowią tu takiej plagi, jak w Australii i w niektórych krajach Ameryki. Naszych wiewiórek niema, w lasach natomiast trafiają się oposy i lemury. Ze szczurowatych przywiozłem kilka okazów bardzo ciekawych, które darowano mi w misyi Mandera. Są to „macrocelides," szczury, których pyszczek kończy się trąbką. Jeden gatunek, o sierści ciemnobrązowej, z trąbką długą na cal, należy podobno do nader rzadkich.

W Zanzibarze, w Bagamoyo i po misyach widywaliśmy wszędy oswojone małpy, sądziłem więc, że jest ich w kraju bardzo wiele, tymczasem w czasie całej naszej wycieczki w głębi, trwającej jednak parę tygodni, nie spotkaliśmy żadnej. Natomiast, gdy po nocach przesiadywałem, wedle mego zwyczaju, przed namiotem, wsłuchując się w głosy okoliczne, dochodziło mnie częstokroć z zarośli jakby przytłumione szczekanie. Murzyni zapytywani, coby za zwierz odzywał się takim głosem, odpowiadali stale: „kima" (małpa). Misyonarze w Manderze potwierdzili również, że istnieje w tych stronach pewien gatunek szczekającej małpy, trzyma on się jednak w głębokich gąszczach, zupełnie niedostępnych, wskutek czego można długo mieszkać w kraju i nie zobaczyć ani jednego egzemplarza. Przypuszczam na swoją rękę, że może to być zwierzę nocne jak lemury.

Prawdopodobnem jest, że i inne gatunki ukrywają się w gąszczach, chroniąc się w ten sposób przed upałem i przed ludźmi; w ogóle nie musi ich być na pomorzu wiele, skoro nie spotkaliśmy żadnej, nawet wówczas, gdyśmy dla polowania schodzili z utartych ścieżek i na kilka dni pogrążali się w zarośla i step zupełnie dziki. Być może, iż wdzięczna małpeczka, *Colobus Kirkii*, która wyginęła już całkowicie w Zanzibarze, znajduje się jeszcze na przyległym wybrzeżu stałego lądu, ale prawdziwe małpie kraje zaczynają się dopiero za górami, na wyżynie i wedle Wielkich jezior.

Lew bywał tak pospolity na całem wybrzeżu wschodnio-afrykańskiem, że, jak pisze Reclus, całe wioski musiały się przenosić, by uniknąć zbyt licznego i niebezpiecznego sąsiedztwa. Dziś trafia się jeszcze, ale nie tak często. O jednym, który w czasie naszego pobytu w Zanzibarze podbierał osły w Bagamoyo, wspominałem już poprzednio. Ojciec Stefan opowiadał mi też o wypadku, jaki zdarzył się pewnemu botanikowi w samym ogrodzie misyjnym. Zastrzeliwszy kukułkę na palmie, wczołgnął się ów botanik w rosnące pod drzewem krzaki, by odszukać swą zwierzynę, gdy nagle ujrzał przed sobą ogromną grzywiastą głowę lwa, który widocznie przebudził się z poobiedniej drzemki. Botanik zdrętwiał, lew również. Ale władcy zwierząt przyszło prawdopodobnie na myśl, że istota, która sobie tak włazi na czworakach do jego komyszy, musi być wyjątkowo pewna siebie, dał więc susa w tył i pierzchnął; w ten sposób spotkanie nie doprowadziło do bliższej znajomości.

W ogóle jednak spotkanie lwa, również jak i innych drapieżnych, przy świetle słonecznem należy do wyjątkowych zdarzeń. W Afryce jest tak: w dzień można wszędy chodzić, w nocy nigdzie, nawet po własnym ogrodzie, o ile nie jest otoczony wysoką palisadą. Ja i mój towarzysz słyszeliśmy ryk lampartów w wielkim sadzie kokosowym misyi w Bagamoyo, a po naszym wyjeździe pantera rozdarła tam psa, tuż przy kaplicy, o kilkadziesiąt kroków od domu. Za to w czasie całej podróży raz tylko, w czasie noclegu w Gugurumu, słyszałem stękanie lwa. Wszystkie drapieżne, jako to: lwy, pantery, lamparty, serwale, hyjeny i t. p., kryją się podczas dnia w gęstwinach, przez które same tylko umieją się przedrzeć wśród ljanów, krzów, zarośli i korzeni drzew, niskiemi przechodami, mającemi kształt ciemnych korytarzyków. W nocy wszystko to wychodzi na żer. Murzyni powiadają, że światło nie bardzo je odstrasza. Być może, że tylko z tej przyczyny karawany nie podróżują nocami — inaczej bowiem, przy świetle księżyca, nie trudnoby było trzymać się ścieżki, a pochód w ciemnościach przyjemniejszy byłby, niż pod spiekotą słoneczną.

* * *

Jeszcze jeden obrazek z nad wybrzeży Wami.

„Brzegi Wami pokryte są nie przez zarośla na podobieństwo wybrzeży Kingani, ale przez prawdziwy las dziewiczy. Rzeka bieży wartko środkiem koryta, bliżej zaś brzegów łamią jej bieg ogromne głazy, wskutek czego rozdziela się i tworzy niewielkie zalewy, napełnione niemal stojącą wodą. Wysokie piramidy drzew przeglądają się spokojnie

w tych zalewach, które, odbijając razem i błękit nieba, wydają się bezdenne.

Upięcia ljanów, poprzerzucane z drzewa na drzewo, zwieszające się — i tuż nad wodą i dalej, w głębi — tworzą pozór kotar nad drzwiami mrocznych świątyń leśnych. We wnętrzu ich światło jest uroczyste, przyćmione, jakby przechodziłe przez gotyckie okna; pnie drzew majaczeją nakształt kolumn w ołtarzach, głąb całkiem jest zakryta dla oka: wszędy spokój, milczenie; wody ocembrowane murem drzew — dziwne, prawie mistyczne zacisze!

Pogrążony w niem człowiek mniema, że wdziera się w jakąś tajemnicę i że kogoś obraża. Wszelka nadprzyrodzona istota wydałaby się tu rzeczywistą, tak, jak w obrazach Boecklina. Mimowoli słuchasz, czy w głębinach leśnych nie rozlegnie się krzyk dryady. Zdaje ci się koniecznie, że tu ktoś czasem śmieje się, woła, i że gdy żadne oczy ludzkie nie szpiegują lasu i rzeki, wówczas z pod firanek ljanów wysuwają się jakieś nadzwyczajne twarze, naprzód oglądają się bystro naokół, a potem dziwaczna rzesza wyskakuje z gęstwiny i pluska się rozkosznie w zacienionych wodach.

Gdzieniegdzie z drzew kapią kwiaty i tuż nad zwierciadłem wodnem leżą w cieniu płatki krwawe lub różowe. W miejscach, gdzie lasu nie podszywa zbita gęstwina krzaków, widać grunt czarny i wilgotny, podobny do ziemi, używanej w cieplarniach: wyżej nad nim wisi leciuchna koronkowa zasłona paproci, jeszcze wyżej pnie, pookręcane jakby okrętowemi linami i wreszcie jedna wielka kopuła liści zielonych, czerwonawych, złotych, wielkich i małych, o kształtach wachlarzów, mieczy, piór, ostrzów od włóczni.

Las składa się, jak zwykle podzwrotnikowe, z wszelkiego rodzaju drzew: rosną tu palmety, draceny, drzewa gumowe, sykomory, tamaryski, mimozy — jedne przysadkowate i grube, drugie, strzeliste, całe w smukłych pędach. Czasem niepodobna rozpoznać, jakie liście do którego drzewa należą, bo wszystko to miesza się ze sobą i z liściami ljanów, przepycha się, obejmuje, idzie w zapasy i przygniata, by tem swobodniej dostać się do światła.

Tam, gdzie las jest podszyty, na krok nic widzieć nie można. Człowiek w tych dziewiczych ostępach, gdzie każda paproć wznosi się nad nim, jak baldachim, maleje we własnych oczach i wydaje się sam sobie lichym ślimakiem, który, nie wiadomo dlaczego, tam zalazł.“

„...Po raz drugi przeszliśmy Wami w innem miejscu, ale w równie lesistem i równie pięknem. Ponieważ noc się zbliżała, rozbiliśmy namiot tuż nad brzegiem, na małej polance, otoczonej drzewami. W trawie były skorpiony, kazaliśmy więc wyskubać ją do cna na przestrzeni kilkunastu kroków i w ten sposób zabezpieczyliśmy się od niepożądanych gości. Noc nam zeszła spokojnie; hipopotamów nie słyszeliśmy wcale, albowiem Wami, mająca bieg nader wartki, posiada ich w ogóle mniej, niż Kingani. Idąc brzegiem, natrafia się wprawdzie od czasu do czasu na ich ślady i może być, że bliżej oceanu, tam, gdzie rzeka rozlewa się szerzej i płynie spokojniej, znajduje się ich więcej. W okolicy Mandery olbrzymie te zwierzęta stały się rzadkie jeszcze i dlatego, że misya częstokroć urządzała na nie polowania, jak tego dowodzi kilkanaście czaszek, znajdujących się na składzie u brata Aleksandra. Łapano je najczęściej w doły, i jest to niemal jedyny sposób, by zwierzę dostać, albowiem postrzelone, ginie prawie zawsze, nie wiadomo gdzie.

Świtaniem porzuciliśmy Wami. Ponieważ chcieliśmy po drodze polować, więc pominąwszy wszystkie udeptane ścieżki, poszliśmy w kierunku M'Pongwe, na przełaj przez wzgórza. Prowadził nas O. Korman i ów królik, który poprzedniego dnia przybył do Mandery. Ten ostatni był pysznym typem murzyna-myśliwca. Suchy, niewielki, o wydatnych muskułach i dzikiem spojrzeniu, miał w sobie coś z rysia albo pantery. Słynął on w okolicy, jako niestrudzony łowiec i, co jest między murzynami bardzo rzadkie, jako dobry strzelec. Musiał też być istotnie dobrym, jeśli trafiał ze swego karabina, pochodzącego z przed laty przynajmniej pięćdziesięciu.

O szóstej rano, zaledwie słońce zeszło, upał zrobił się odrazu okrutny. By zająć jak największą przestrzeń okolicy, poszliśmy szeroką ławą, jeden od drugiego na dwieście lub więcej metrów. Popamiętam tę wyprawę długo, albowiem, jak żyję, nie widziałem człowieka, chodzącego tak po górach, jak O. Korman. Zdawało mi się, że ma skrzydła. Zaledwie zobaczyłem go u stóp wzgórza, już był na jego wierzchu. Dziki królik leciał również, jakby go wiatr gnał. Zarówno przez miłość własną, jak i dlatego, by nie rozrywać łańcucha, staraliśmy się iść na jednej linii z nimi, ale przychodziło nam to z największem wysileniem. Posuwanie się naprzód przedstawiało ogromne trudności. Czasem przegradzały drogę wąwozy, wprawdzie nie głębokie, ale o ścianach prostopadłych, na które trzeba się było wdrapywać; czasem doliny, pokryte wysokim na kilka metrów tatarakiem; na wzgórzach tamowały pochód trawy lub gorsze od nich kolczaste mimozy. Trzeba było jednak lecieć.

Przyszło mi do głowy zmęczyć ojca Kormana i jego dzikiego przyjaciela i w tym celu począłem biedz naprzód jeszcze prędzej od nich, ale gdy upłynęła jedna godzina, potem druga, a ich moje wysiłki zdawały się tylko podniecać, dałem za wygraną i zetknąwszy się z nimi w otwartem miejscu, oświadczyłem kategorycznie, że nie mając ani ich filigranowej postawy, ani skrzydeł, nie pójdę w ten sposób dalej.

Zresztą taki pochód na złamanie szyi był rzeczą dla polowania wprost szkodliwą, albowiem człowiek, nie mogący tchu złapać ze zmęczenia, musi chybić do każdej zwierzyny, choćby nawet strzelał blisko. Jakoż, ojciec Korman przekonał się sam o tem, spudłowawszy w chwilę później do pięknej antylopy-skoczki. Utrzymywał wprawdzie, że ją postrzelił, ale krwi nie można było odnaleść.

Niebawem ujrzałem na skłonie wzgórza mego towarzysza, podnoszącego do twarzy swój ciężki, dziesięciokalibrowy karabin. Po wystrzale, który zahuczał, jak z armaty, mignęła mi w pełnym biegu olbrzymia antylopa kudu i skryła się w tej samej chwili w mimozach. Stojąc o jakie trzysta metrów, widziałem wszystko, jak na dłoni i ponieważ strzał był bliski, byłem pewien, że nie jest chybiony. Jakoż, zbliżywszy się, sam widziałem rzuty farby na trawach i mimozach. Wysłaliśmy zaraz ludzi za śladem, sami zaś ruszyliśmy naprzód, albowiem całe stadko, złożone z pięciu sztuk, pojawiło się na dalszych wzgórzach.

Przekonaliśmy się jednak, że bez jakiejkolwiek naganki polowanie jest wprost niemożliwe, zwłaszcza, gdy czujność zwierza jest już rozbudzona. Ilekroć weszliśmy na jakie wzgórze, tylekroć o trzysta lub czterysta metrów widzieliśmy nasze antylopy, które pasły się niby spokojnie, ale co chwila podnosiły głowy i strzygąc uszyma, zdawały się nam oznajmiać, iż nas widzą i czują, w chwilę zaś później całe stadko oddalało się w lekkich podskokach naprzód, by znów zatrzymać się na odległości dwóch, albo trzech strzałów. Widok tych wspaniałych zwierząt, cwałujących na tle wzgórz, pokrytych zielenią i drzewami, był pyszny. Płowe grzbiety i białe brzuchy, to rozbłyskiwały w świetle, to

przygasały w cieniu. Zdawało mi się, że widzę stado jeleni w jakimś przepysznym angielskim parku.

Stary samiec zatrzymywał się zawsze pierwszy i zwracając ku nam głowę, zbrojną w potężne, śrubowate rogi, patrzył przez chwilę, jakby chciał się upewnić, czy dzieli go od nas dość przyzwoita odległość — poczem zaczynał się paść spokojnie. Słuch antylop musi być doskonały, bo nieraz kryły nas przed niemi, to gąszcza, to wyniosłości gruntu, a jednak stadko usuwało się zawsze w porę. Próbowaliśmy je obejść, ale i to nie pomogło. Nie wiem, jak długo trwałby ten niefortunny pościg, gdyby wreszcie antylopom nie sprzykrzyła się zabawa i gdyby po upływie pewnego czasu nie zniknęły nam całkiem z oczu.

Tymczasem słońce wzbiło się wysoko i upał stał się okrutny. Trzeba nam było co prędzej schronić się pod namiot, by uniknąć uderzenia słonecznego. Z tem w Afryce nie wolno żartować. Doszliśmy jeszcze do najbliższego lasu i tam czekaliśmy na ludzi, którzy też wkrótce nadciągnęli z namiotem i skrzyniami.

Droga wypadała nam prawie ciągle wzdłuż Wami, wśród okolicy lesistej i nader malowniczej. Był to pochód trudny, a nawet niebezpieczny. Przeszło godzinę posuwaliśmy się gliniastym wrębem, szerokim zaledwie na stopę, mając z jednej strony tuż przy ramieniu prostopadłą ścianę brzegu — z drugiej, bezpośrednio pod nogami, spokojny już w tem miejscu i głęboki nurt Wami. Tam, gdzie wręb pochylał się, lub gdzie zagradzały poplątane korzenie drzew, trzeba było dokładać wszelkich usiłowań, by nie pośliznąć się i nie wpaść w wodę, z której ratunek byłby, ze względu na wielką ilość krokodylów, prawie niepodobny. Raz wraz nad gładką tonią widzieliśmy wynurzające się trzy czarne punkta, które nie były czem innem, jak końcową wyniosłością paszczy i wyniosłościami nad oczyma krokodyla. Widok ten dodawał nam dziwnie ochoty do trzymania się rękoma i nogami naszego wrębu, a gdy w niektórych miejscach glina usuwała się nam nieco z pod nóg, usiłowaliśmy posuwać się tak lekko, jak zefir. W takich warunkach każdy odkryje w sobie niebywałe talenta ekwilibrystyczne.

Z niewielką też przyjemnością myślałem, że koniec końcem, trzeba będzie jeszcze raz przejść w bród tę malowniczą rzekę i wyznaję, że życzyłem sobie w duszy, by była mniej malowniczą, ale za to i mniej obfitą w krokodyle. Na szczęście, w wiosce Digwasu znajdowała się piroga, którą przejechaliśmy na drugi brzeg bez żadnego wypadku i nawet bez widzenia złowieszczych czarnych punktów.

Po południu, wziąwszy strzelbę, poszedłem nad rzekę, w nadziei, że uda mi się strzelić do krokodyla. Jakoż uszedłszy może pół kilometra spotrzegłem, znane mi już z poprzedniego pochodu, trzy punkta, poruszające się wolno nad wodą. Wymierzywszy najstaranniej między dwa górne, pociągnąłem za cyngiel. Ponieważ strzelałem dość blisko i w warunkach zupełnie dogodnych, nie spodziewałem się chybić; po strzale jednak głowa znikła natychmiast pod wodą, pozostawiając mnie na pastwę wątpliwości. Oczywiście, że tego rodzaju polowanie nie przedstawia wiele uroku. Po niejakim czasie chciałem już wrócić i zmieniwszy sztucer na zwykłą strzelbę, pójść na ptaki, gdy wtem nadbiegło kilku naszych ludzi, z Franciszkiem na czele, dając mi znać, że na drugim brzegu aż dwa krokodyle wylazły na piaszczystą zaspę, prawie na przeciwko wioski.

Wróciwszy, przekonałem się, że mówią prawdę. Widocznie nikt w Digwasu nie poluje na te płazy, albowiem leżały one sobie spokojnie na zaspie, ani dbając na krzyki i głośne rozprawy naszych ludzi, którzy prawie wszyscy zgromadzili się nad brzegiem. Obie sztuki były jeszcze niedorosłe. Wybrawszy większą, posłałem jej pod łopatkę kulę. zakończoną stalowym stożkiem. Zwierz podskoczył po strzale na jaki metr w górę i rzucił się w wodę; po upływie jednak kilku minut wypłynął o kilkadziesiąt kroków dalej na mieliźnie, na której było go doskonale widać. Simba ofiarował się zaraz iść po niego, ale nie pozwoliłem mu uczynić tego póty, póki przez szkła teatralne nie spostrzegłem, że krokodyl, który od pewnego czasu otwierał kolwusyjnie paszczę, nie przestał ziewać i nie odwrócił się białawym brzuchem do góry. Wówczas poszedł Simba i kilku innych, ale mnie i ich czekała jeszcze niespodzianka. Oto krokodyl odwrócił się znów, i umknąwszy pod sam brzeg, jąć się nie dawał. Czarni poczęli teraz koło niego tańcować, pilnując starannie własnych łydek, i trwało to przeszło pół godziny. Złapali go wreszcie na wić, z której urządzili stryczek, i przyciągnęli go na ten brzeg, jak psa, z takim impetem, aż woda warczała naokoło.

Gdy go przywlekli przedemnie, już nie żył. Obejrzawszy trupa, przekonałem się, że kula ze stalowym końcem nietylko przebiła pancerz, ale przeszła na wylot, a mimo tego płaz żył jeszcze przeszło pół godziny. Jakoż krokodyla, strzelanego na wodzie lub też przy niej, nie dostaje się, równie jak hipopotama, prawie nigdy; mego zaś dostałem wyjątkowo szczęśliwym trafem, mianowicie dlatego, że zalazł na płytkie wody.

Murzyni ponieśli go w tryumfie do wioski i złożyli przy naszym namiocie."

Najwięcej zdobyczy myśliwskiej spodziewał się Sienkiewicz w Gugurumu, gdzie jest jedyne na obszerny szmat kraju poidło, do którego wszelki zwierz pić przychodzi, lecz tu powaliła go febra i zmusiła uchodzić do Zanzibaru.

SKIERNY.

Skierny, ski, sletery — czy jak tam kto nazwać zechce norwegskie łazidła do śniegu — zajęły w ostatnich czasach turystów i myśliwych. Już z końcem ubiegłej zimy poczęto z niemi robić próby w Alpach styryjskich i w innych miejscowościach, o ileby się dla służby leśnej w czasie zimy i do wycieczek łowieckich w góry w porze śnieżnej nadawały*), obecnie zaś kluby turystów w Berlinie i Wiedniu i szersze koła myśliwych zwróciły swą uwagę na skierny i w różnych pismach równocześnie pojawiają się opisy tych norwegskich łazideł, oraz bliższe uwagi o ich użyciu.

*) O wyniku niektórych prób podaliśmy wiadomość w nr. 9 „Łowca". *Przyp. Red.*

Trzy są główne grupy rzeczonych łazideł, które się różnią od siebie szczegółami konstrukcyi.

Pierwsza grupa z Oesterdal przedstawia łazidła z obu końców do góry podgięte, przyczem lewe łazidło jest dłuższe od prawego. Do sporządzania ich używają przeważnie świerczyny, także brzeziny i jaworu.

Druga grupa, Finmark, obejmuje łazidła równej długości, na obu końcach znacznie mniej podgięte, z szerokiemi brzegami, wyrabiane z brzeziny. Tych używają Lapończycy.

Trzecia grupa, Telemark, przedstawia łazidła najbardziej dziś na półwyspie Skandynawskim rozpowszechnione. Tylko z przodu nieco mocniej podgięte, są one w tem miejscu szersze, a zwężają się ku środkowi, gdzie jest miejsce na stopę. Podeszwa, czyli dolna płaszczyzna łazidła, zaopatrzona jest rowkiem podłużnym, a linia całego łazidła jest lekko falistą, tj. wypukla się nieco w pośrodku, tak, że jeśli łazidło na równej płaszczyźnie spoczywa, środkowa jego część nie przystaje do płaszczyzny. Do wyrobu używają świerczyny i niektórych drzew liściastych.

Ta ostatnia forma łazidła nadaje się najbardziej do sportowych i myśliwskich wycieczek także po naszych śniegiem zawianych równinach i górach.

Długość łazidła takiego może wynosić 1·5 do 2·25 metra, a stosownie i waga od 2 do 5 kilogramów. Długość w stosunku do wysokości człowieka, który łazidła ma używać, powinna się równać odległości palców jego od stopy, gdy pionowo rękę do góry podniesie.

W Styryi produkują już w kilku miejscach łazidła na wzór norwegskich, już to z jasieniny jużto z buczyny*).

Umocowanie nogi na łazidle następuje zapomocą pasa skórzanego, przytrzymującego palce u nogi, zapiętka i rzemieni. Przywiązanie łazidła musi być silne, dające jednak pewną swobodę obrotów stopie, tak mianowicie, ażeby człowiek z przymocowanym do stopy łazidłem mógł bez trudności klęknąć.

W skiernach można miejsca okryte śniegiem, czyto równiny, czy wzniesienia, czy spadki z znaczną szybkością i łatwością przebywać. Ważną niezawodnie jest tu okoliczność, z jakim śniegiem, czy świeżo spadłym czy dłużej leżącym, ubitym czy obmarzniętym ma się do czynienia! Oczywiście, że śnieg sypki przedstawia większe trudności, niż śnieg zbity i mający skorupę stwardniałą, bo tu wprawny śniegołaz największą uzyska szybkość. Na każdym wszakże śniegu można się w skiernach poruszać, i chyba tylko bardzo rzadki, tający już śnieg nie sprzyja biegowi na skiernach.

Bieg nie wymaga szczególnej zręczności, siły i długiego ćwiczenia, a ewentualne upadki w czasie ćwiczeń nie są tak bolesne i niebezpieczne, jak na twardym lodzie. Nabrawszy wprawy, można przy sprzyjającej powłoce śniegowej dojść do tego, że jedno pociśnięcie stopą posuwa biegnącego o 5 metrów naprzód. Biegnąc, nie podnosi się nóg zupełnie, lecz trzyma się je zawsze na śniegu, a łazidła tuż obok siebie, o ile możności całkiem równolegle. Początkujący powinien robić ruchy w tempie jak najpowolniejszym, bo zapalczywy pospiech umęczy tylko a nie doda szybkości. Przy ruchu na płaszczyźnie zalecają użycie dwóch lasek, sięgających biegnącemu do ramienia. Równocześnie pracują wówczas prawa noga i lewa ręka, albo odwrotnie. I gdy np. pochylone ciało ciąży na pracującej nodze prawej, lewa wówczas, z podniesioną piętą, wlecze za sobą drugie łazidło bez wszelkiego trudu, poczem rola nóg się zmienia i główna praca na lewą nogę przechodzi. Tym sposobem przebywa się płaszczyzny i znaczne nawet wzniesienia; przy wzniesieniach stromych trzeba się oczywiście posuwać serpentyną. Przy biegu z góry trzyma się nogi jak najsilniej przy sobie, lasek używa się do hamowania lub utrzymania równowagi. Na stromszych zboczach zjeżdża się również linią wężową, przyczem stawia się łazidła ukośnie, naciskając na krawędź w kierunku od spadzistości.

Kluby turystów, które wzięły skierny pod swą opiekę, wynajdują tysiączne dodatki i ulepszenia, i ekwipują śniegołaza w rozmaite wygódki. Nogi zalecają okrywać obuwiem miękkiem lecz nieprzemakalnem i kamaszami, a ubiór brać nie zbyt ciepły, bo przy posuwaniu skiernów wchodzą w ruch wszystkie części ciała i podnoszą znacznie jego ciepłotę.

W okolicach Chrystianii odbywają się każdej zimy o zakład wyścigi na skiernach. Terenem ich są wzgórza pod Chrystianią, z których wprawni skierniści urządzają skoki na 20 i 30 metrów odległości. Dwór bywa przy tych wyścigach, król przygląda się im bardzo chętnie a synowie królewscy zaliczają się do gorliwych skiernistów. Oto ustęp z opisu takich wyścigów:

Tor wyścigowy kończy się stromem urwiskiem. Na spodzie rozkopano i rozpulchniono śnieg, aby uderzenie nie było zbyt silne. Na górze, około wysokiego proporca, gromadzą się zapaśnicy, zajęci jeszcze przywiązywaniem skiernów. Wtem dają znak z trybuny sędziów. Na górze odzywa się trąbka — cisza zalega tłum, cisnący się w około — a z grona zapaśników odrywa się jeden i w silnym biegu zdąża ku przepaści, prosty jak świeca, z skiernami tuż przy sobie, z jedną nogą nieco naprzód wysuniętą, pojawia się nad brzegiem — w tem przykucza i jak mewa na piany morskie, spada na puch śniegowy, który go chmurą na chwilę zakrywa. Lecz już znowu stoi wyprostowany i w pięknych łukach spuszcza się na dół, gdzie go tłum hucznym okrzykiem wita.

Lecz to był tylko skok próbny. Wkrótce na znak dany z trybuny odzywa się znów trąbka i biegną wszyscy zapaśnicy, z wielkimi numerami na piersiach, ażeby ich z dala można odróżnić, i śmiałymi skokami przecinają jak ptaki powietrze. Na dole zaś rozbrzmiewa muzyka i wita ich wesołymi tonami.

Bywają wypadki przy tych skokach: to łazidło się złamie, to rzemień pęknie, to sam zapaśnik wywróci kozła i w śniegu twarz podrapie, albo szeregiem koziołków w dziwnem pomieszaniu ze skiernami aż na dół się stoczy — ale wszystko to kończy się zazwyczaj niewinnie i wywołuje tylko salwy śmiechu. *St.*

*) Ogłasza je w pismach niemieckich B. Kindl w Grazu, Jakominiplatz.

KORESPONDENCYE.

Sokołów 8. listopada 1892.

(Słonki i żbik.)

Dnia 4. listopada przyjechało do mnie dwóch sąsiadów postanowiliśmy spróbować, czy przypadkiem nie ma jeszcze słonek w łozach. Muszę wspomnąć, że mam około 180 morgów łóz, położonych między rzekami Świcą i Sukilem, które są podzielone na 21 małych miotów słonczych. Wzięliśmy przeto kilku chłopców i poszli w trzy strzelby około południa w łozy.

Wolałbym na tem zakończyć korespondencyę, ze względu na stanowisko, jakie i nadal w gronie myśliwych zatrzymaćbyśmy pragnęli — ale i zwierzynie należy się uznanie, jeżeli ponad zwykłą miarę spełniła swą powinność — więc powiem: zastaliśmy żbika, najmniej 8 słonek, stadko kuropatw, trzy lisy i kilka zajęcy. Do tego wszystkiego strzelano, a na to padł lis i zając. Żbik był, co ciekawsze, dopiero w siódmym miocie, a w poprzednich już strzały padały, ale położenie miotów było takie, że ciągleśmy go okalali — podczas gdy on siedział w miocie, który graniczy z jednej strony z rzeką, z drugiej zaś do obszernego otwartego pastwiska przytyka. Pierwsza zobaczyła go nagonka i sygnalizowała „dyki kit!“ Szedł wzdłuż nagonki i wyszedł na myśliwego na 12 kroków, ten strzelił do niego w krzakach słonczym śrutem i żbik przepadł, jakby w wodę skoczył. Ani go nagonka więcej nie widziała, ani przez linię nie przeszedł, i wszelkie nasze poszukiwania spełzły na niczem. Słonek, jak wspomniałem, zastaliśmy najmniej ośm, ale przepuszczam, że było ich z jedenaście, bo bardzo daleko się zrywały i wysoko ciągnęły, a zatem nie jedna słonka, którą za już raz ruszoną rachowałem, mogła być świeżą.

Następnego dnia polowałem w sąsiedztwie, w kniei, w ulewny deszcz. W jednym miocie zastaliśmy także cztery słomki. Podaję ten fakt dlatego do wiadomości kolegów myśliwych, ażeby dać dowód, jak kapryśnym jest ciąg słomek w jesieni. Nigdy jeszcze tak wcześnie się nie rozpoczął w naszej okolicy, jak tego roku. Od 8. do 20. października zastawałem w łozach po 15 do 30 słomek, potem były już pojedynczo tylko, — później wyjechałem z domu, a 4. listopada zastałem znów natenczas wcale pokaźną ilość.

Stanisław Matkowski.

Z pod Brodów 18. listopada 1892 r.

(Na błotach i w kniei.)

Polowanie błotne na Sznyrowie i Boudurach rozpocząłem 17. lipca i pierwszego dnia zabiłem 18 dubeltów, co mi się jeszcze w pierwszym dniu polowania błotnego nigdy nie zdarzyło.

Widocznie ciąg zaczął się wcześniej niż zwykle. Jak wcześnie się zaczął, nie mogłem się nawet dopytać, bo zwykle od 15. polowanie błotne tu zaczynamy; wiem tylko, że już 15. zabijano po kilka, a nawet, jak słyszałem, jeden dobry strzelec, porucznik Widen, zabił 12 dubeltów. Myślę, że wczesna i piękna wiosna była przyczyną wczesnego ciągu. Najwięcej dubeltów bywa tu zwykle koło Św. Anny, ale w tym roku zauważyłem, że więcej było ich przed 26. lipca. To też, kiedy hr. L. Starzeński przyjechał, jak zwykle po Św. Annie, zastał wprawdzie dosyć, ale nie tyle jak się zanosiło na początku. Zawsze jednak przez dwa dni we czterech i tyleż dobrych psów, zabiliśmy 120 dubeltów. Ładnie to, lecz cóż ta liczba znaczy w porównaniu z dobremi latami, gdzieśmy we dwóch z Horodyńskim jednego popołudnia 96 zabili dubeltów, a trzeba wiedzieć, że już przed nami polowano, i zabito na temże Sznyrowskiem błocie 31 sztuk. Innym razem z L. Starzeńskim na Boudurach w deszcz w parę godzin zabiliśmy 60 dubeltów, pamiętam zaś lata, że sam jednego dnia zabiłem 49 dubeltów. Już od kilkunastu lat uważam, że dubeltów coraz mniej a przeszły rok był najgorszy, z tych jakie zapisuję od mego przybycia w te strony.

Polowaliśmy na dubelty w tym roku dość pracowicie, bo po cztery i pięć dni w tygodniu; padło ich razem 473. Michałków prawie nie było, bo i jednego albo dwu na dzień liczyć nie można.

Kszyków tu zwykle mało bywa, a wtym roku mniej niż zwykle, gdyż w czasie ciągu kszyków błota tak powysychały, że armaty można było przez nie prowadzić.

Kuropatw zabiłem 12. W tym roku pokazało się ich więcej i wszędzie, nawet w takich miejscach, w których nigdy nie bywały. Jeżeli zimę będziemy mieć lekką, powinny się rozmnożyć. Mało na nie polowałem, bo jadąc właśnie na kuropatwy, nadłamałem sobie nogę i dziewięć tygodni przeleżałem w łóżku.

Dnia 10. października zaczęto polować w Lisowicach. Nie mogłem jeszcze być na tem polowaniu, ale już 24. z. m. polowałem w Biłce i Kłodnie. Był to już koniec ciągu słonek. Przez 7 dni polowania zabito tylko 20 sztuk tam, gdzie jednego dnia padało 30 i więcej. Polowaliśmy w siedm strzelb z przeszkodami, bo nam deszcze ze śniegiem przeszkadzały.

Stan zwierzyny u ks. Jana Sapiehy z każdym rokiem powiększa się, bo też gorliwie się ją pielęgnuje i karmi, a kłusowników prześladuje; przytem za ubite jastrzębie i koty są premie. Od dwóch lat zaprowadzone tam bażanty na dziko pięknie się mnożą i już w Biłeckich kniejach prześliczny ten ptak urozmaica polowanie. W Kłodnie są cietrzewie i dziki. Padł jeden wycinek i dwa koguty, a strzelano dużo do cietrzewi i do kilku dzików bez skutku, oprócz tego padło coś 20 rogaczy i do 30 lisów. Zające po większej części były w polu, jednakże wyżej stu zabito, pomimo, że w tym czasie więcej się patrzy w górę na słonkę a zająca pod nogami się przepuszcza; przytem coś bażantów i kuropatw padło, także jeden chruściel. Parę dni wskutek deszczu niepolowano, przepędziliśmy czas ten w miłem towarzystwie pań.

W Biłce, w rewirze Tupały, zabił hr. Władysław Tyszkiewicz rogacza ósmaka. Na jednym rogu miał cztery paroście równe, na drugim czwarty mały. Rogacz był mały i chudy, rogi zaś duże i ślicznie uperlone.

W Brodczyźnie zaczęły się już sobotnie polowania. W dwa dnie zabito 3 rogacze, 2 lisy, 21 zajęcy i borsuka. Strzelano do cietrzewi w tych miejscowościach, gdzie ich nigdy nie było t. j. w Folwareckiej luce, dużo zwierzyny chybiono.

W tym roku wszędzie pokazuje się dużo dzików. W Brodyczyźnie, w Kątach, w Toporowie, jest jak powiadają mnóstwo. Latem były polowania w Łopatynie, Toporowie, Kątach; zabito ledwo kilka sztuk, jakto zwykle bywa, gdy liść na drzewie. Cietrzewi co rok więcej. Już toki mamy prześliczne, a są miejscowości, gdzie setkami grają — bez

przesady! Tok zwykle u nas zaczyna się od 25. kwietnia, a trwa do połowy maja i dłużej. Cietrzew jest tak twardym ptakiem, że postanowiliśmy 4. nr. śrutu do niego strzelać, bo od nr. 6. dużo postrzelanych przepada nawet przy strzałach ze Charles Lane i Tesznerówek.

Podaję rzadki wypadek. Naczelnik stacyi w Ożydowie na jeden strzał zabił dubelta i kszyka. Przytem muszę zanotować, że na Oleskiem błocie było mało dubeltów, ale kszyków dużo, kaczek było także dosyć, które się tam na błotach gnieżdżą.

Pierwszy raz zabiłem przy puhaczu błotniaka bladego *(Circus palidus)*, zwanego po francusku *Jean le blanc*, którego nazywałem zawsze Żydem wiecznym tułaczem, bo nigdym go siedzącego nie widział.

Jastrząb ten jest z wierzchu jasno popielaty, ze spodu biały, końce skrzydeł czarne, na głowie różowe piórka, dziób czarny mały, głowa mała, nogi żółte, poniżej kolan upierzone, pazury czarne. Na puhacza biją najwięcej myszołowy, błotniaki a nawet orły, najrzadziej nasz jastrząb gołębiarz. Śliczna to jest zabawka, szczególnie na wiosennym ciągu. Wtedy w jednym tygodniu można do 40 jastrzębi zabić. *Marceli Tyszkiewicz*, delegat.

Kołomyja dnia 7. listopada 1892.

W najpiękniejszych kniejach naszej okolicy rozpoczął się już myśliwski karnawał, tem więcej ożywiony, że mamy tu znakomitych tancerzy, którzy na każdem polu, białem czy czarnem, - na błocie czy na śniegu, zawsze staną do apelu, i miły swój obowiązek bez żadnych spełniają pudeł. Drzyjcie więc troskliwie szanowane i jeszcze więcej mordowane zajączki, koziołki etc., bo karnawał ten jak zwykle porządnie was zdziesiątkuje.

Przedewszystkiem jednak ty paniczu ogoniasty, który nam robisz największą konkurencyę, musisz zapłacić głową za twe psoty i to jak najprędzej, bez względu na futerko, które szkód twoich opłacić nie jest w stanie.

Rozpoczęto więc wszędzie lisie polowania. Dnia 19. września ubiliśmy w Korszowie w 4 strzelby 3 lisy i 3 kozły, dnia 31. września w Turce 10 lisów, 20 kozłów i 35 zajęcy w 32 strzelb, a strzelano tak dobrze, że zaledwie $^1/_5$ wszystkich strzałów, licząc już strzały dublowane, padły bezskutecznie. Knieja tam prześliczna, znakomicie podzielona, a polowanie odbywa się z wzorowym porządkiem i planem, prowadzone przez samego właściciela p. J. Agopsowicza, który po mistrzowsku umie je aranżować. Sarn jest wielka ilość, ale nie ma już pięknych okazów pomiędzy samcami, podczas gdy kóz bardzo wiele starych i ogromnych samotnie chodzi, co jest najlepszym dowodem, że są jałowe. Pomiędzy ubitymi 20 kozłami było zaledwie 3 lepszych, najwyżej 3-letnich, i to z nieszczególnemi rożkami. Większych kozłów wcale nie widziano. Wartoby się nad tem zastanowić, czy nie lepiej by było zamiast młodych 2-rocznych kozłów bić stare jałowe kozy, które u nas giną tylko naturalną śmiercią i stają się łupem szkodników.

Dnia 1. i 2. października polowano w Kamionkach. Jest to bezsprzecznie najlepsza knieja w naszej okolicy, do której z dalekich stron zjeżdżali się Nemrodzi, i w której dziennie po sto kilkadziesiąt pada zwierzyny. Jestto jednak zarazem może pierwsza knieja w Galicyi, która padła ofiarą „geszeftu“, jaki nasi mili współobywatele wyzn. mojżeszowego na niem zrobili. „Geszeft“ jest dobry, bo panicze rumuńscy płacą za to polowanie 1.000 złr. rocznie, lecz handel taki jest u nas po raz pierwszy praktykowanym, a właściciela tłumaczy chyba następująca — na zapytanie: „Jak się ma?“— dana odpowiedź: „Nu, jak się bidny ślachcic w tych ciasach może dobrze mieć?“ Na wymówione sobie trzy stanowiska nie mógł „bidny ślachcic“ znaleść amatorów. Najprzykrzejsza jednak jest ta okoliczność, że dzierzawcami tego polowania są przeważnie ci sami panicze, którzy naszych „Sokołów“ tak gościnnie w Czerniowcach przyjęli. Trzeba im jednak przyznać, że są wstrzemięźliwi i umieją szanować zwierzynę. Na polowaniu odbytem w dniach 1. i 2. października ubili w 12 strzelb 17 lisów, 10 kozłów i orła, a do zajęcy wcale nie strzelali.

Mało komu wiadomo, jak znakomite są polowania polne wzdłuż Prutu między Kołomyją a Bukowiną, szczególnie zaś w miejscowościach Kornicz, Chlebiczyn, Zabłotów, Widynów, Śniatyn i Załucze. Ptactwa jest tu zawsze wiele i różnorodnego. W tym roku ubito w Zabłotowie 2 pardwy, a i dawnych lat piękne te ptaki tu się zdarzały. Zajęcy w polu jest bardzo wiele, tylko niestety polowania te należą do luźnego, nie regestrowanego towarzystwa łowieckiego, którego członkowie starają się jak najprędzej wszystko wymordować. W dniu 18. września ubito w Zabłotowie 26 zajęcy, przeważnie jednak małych smarkaczy, z których nie wiele mogło być pożytku.

Nader piękne polowanie polne jest w Załuczu, własności pp. Mikołaja i Eugeniusza Krzysztofowiczów. U podnóża wysokiego i stromego brzegu, który Prut opuścił, mija się mały potoczek, a po obu stronach tegoż same sianożęcia i błota. Brzeg stromy jest schroniskiem lisów, nizina zaś prawdziwym zwierzyńcem dla zajęcy i wszelkiego rodzaju ptactwa. Prawie w tych samych miejscach, tylko o różnych porach roku, bije się tu kaczki, krzyki, dubelty, przepiórki, chruściele, zające i lisy. W sierpniu widziałem tu 2 stada wielkich stepowych kulonów. Najdziwniejsze jednak jest bezpośrednie sąsiedztwo lisów i zajęcy. W dniu 6. b. m. ubiłem tu sam w przeciągu 2 godzin z psem legawym lisa, 5 zajęcy i 3 chruściele. W kawałku szuwaru, a raczej bagna wielkości pokoju, zdybałem całą familię lisią, t. j. psa, sukę i 2 młodych lisiąt. Psa ubiłem, suka poszła mocno postrzelona, a dwoje młodych lisiąt wymknęło się bez strzału, przyczem zabawnie brodziły w wodzie i błocie po samą szyję, tak że wyszedłszy z tej toni były zupełnie czarne i błotem omaszczone. Te 4 lisy wyskoczyły prawie równocześnie po czterech rogach owego szuwaru, tak że nie miałem już czasu po strzałach nabić drugi raz strzelbę. Lisy zdybuję tu prawie zawsze w wielkich bagnach i szuwarach, a co najzabawniejsze, że mój Nero wystawia i sygnalizuje je lekkiem warczeniem. Wiem więc zawsze, kiedy mam z mykitą do czynienia. *J. Ł.*

Z pod Rudek w listopadzie.

(Z lisiej knici).

Knieja hoszańska ma już ustaloną sławę łowiecką, to też co roku z nastaniem jesieni sąsiedzi i bliżsi znajomi gościnnego dworu hoszańskiego cieszą się z góry na upragniony dzień, w którym odbędzie się doroczne polowanie w Hoszanach i tam zwykle rozpoczynają sezon łowiecki w rudeckim powiecie.

Las to niezbyt rozległy, wśród pól, nie spotkasz tam więc grubego zwierza, nie robi się też jatek z zajęcy, ale ta rozmaitość wrażeń i emocyi, jakich dozna tu myśliwy przy spotkaniu się z lisami, przeplatanymi zającem, a tu i owdzie

rogaczem. — wesoła kompania myśliwska, szczera gościnność w domu i w kniei — przedstawia znaczny urok dla dorocznych uczestników polowania i każdy z nich spieszy na nie z ochotą.

Lis nie cieszy się ogólną sympatyą myśliwych, wielu tępi go bezwzględnie, tak, iż coraz rzadszym się staje, kto wie jednak, czy słusznie wypowiedziana mu zagłada. Najlepszy dowód w Hoszanach, że i zając utrzyma się przy nim, bo na każdem polowaniu jesiennem, mimo mnogości lisów i zawczesnej jeszcze pory na zajęcze polowanie kniejowe, spotyka się dosyć stosunkowo zajęcy, a choć byłoby ich może jeszcze więcej, to przecie dla każdego myśliwego, wśród oklepanych zajęcy ponętny jest strzał do lisa, a i futro coś warte.

Lis też stanowi główny powab hoszańskiej kniei. W niektórych miotach roi się czasem od lisów, kity migają przed myśliwymi, wprawiając ich w emocyę, każdy prawie strzela do lisa, niektórzy do trzech albo i czterech. A przytem co za rozmaitość strzałów do tej kitiastej zwierzyny! Jeden na pierwszy odgłos nagonki wykrada się ostrożnie z miotu, prześlizguje się bez szelestu między gąszcze, wypatruje z poza drzew myśliwego i znika w danym razie jak duch. Inny mniej jest ostrożny, słysząc za sobą hałas, ustępuje zwolna przed nagonką i idzie śmiało przed siebie, kłusem lub wolnym a zwinnym galopkiem, prosto pod lufę myśliwego. Taki najczęściej życiem przepłaca swą nieprzezorność, choć często się zdarza, że spostrzegłszy myśliwego, nie dość dobrze ukrytego lub przedwczesny ruch strzelby, zwraca w mgnieniu oka za drzewo lub krzaki, zamachnie tylko kitą jak miotłą przed myśliwym i tyle go widział. Inny wreszcie długo deliberuje, instynktowo przeczuwa niebezpieczeństwo na froncie, wytrzymuje więc do ostatniej chwili przed nagonką, party wreszcie przez zwarty szereg, wypada jak bomba z gąszczów i fajt przez wąską linię. W tej chwili bęc! pada strzał i cały nabój śrutu nr. 4 na bliski dystans kulą prawie uderza w ziemię, tuż za lisem, który znikł już w gęstwinie.

Tego rodzaju łowy urządził nam i tego roku młody gospodarz i dobry myśliwy, pan Stefan Janko dnia 31. października. Po dłuższej słocie nastąpiło kilka dni słonecznych i ciepłych. Gospodarz z leśniczym obchodzą mioty i znaczą stanowiska. Nieoceniony Hawryło, nieduży, krępy człek, o czarnych, pomierżwionych kiściach włosów, spadających mu aż na ramiona i o bystrych a sprytnych oczach, trafi po omacku do każdej lisiej jamy, o północy więc przed polowaniem, kiedy lisów w domu nie ma, zamyka im odwrót, kładąc w jamy wiązki chrustu, rano zbiera nagonkę, myśliwi się ściągają i o pół do 10 stają na stanowisku.

Po pierwszych głosach nagonki pada strzał, elektryzując całą linię myśliwych; to dr. S. sprzątnął wykradającego się lisa, dając tem hasło do pogromu. Padło jeszcze kilka strzałów, rezultat na początku skromny, lis, trzy zające, jastrząb. Drugi miot jeszcze skromniejszy, ale teraz następuje trzeci, tak zwany „lisi“. Myśliwi znają go już z poprzednich lat, więc jeden i drugi bierze się w kupę, ogląda broń i ładunki, czy wszystko w porządku i staje nieruchomo pod dębem. Miot duży, gąszczami i dobrze podszytą grabiną i dębiną pokryty, teren nieregularny, tu i owdzie „żbyrkami“, a czasem głębszym parowem poprzecinany, w środku miotu pagórkowaty garb, gąszczem pokryty, lisiemi jamami gęsto naszpikowany. Nagonka dość trudne ma zadanie, bo miot nieforemny i nieregularny, ale chłopcy wćwiczeni nie od dziś, a Hawryło zna się na rzeczy, wie kiedy które skrzydło naprzód pocisnąć, a które pohamować. Wreszcie odzywa się z flanki przeciągły sygnał trąbki, odpowiada mu z oddali donośnym głosem Hawryło, podnosi batutę w kształcie grubej czereszniówki, chłopcy dają nurka w krzaki i gon rozpoczęty. Po chwili pada strzał na dole, drugi jak echo odpowiada mu na górze, trzeci w środku i wkrótce gęsta tyralierka rozlega się na całej linii. Prym wiedzie w niej operator dr. Z. rozciągając lisy w promieniu swego wystrzału, inni wtórują mu jak mogą. Wreszcie strzały cichną, nagonka ukazuje się z gąszczy, ten i ów schodzi ze stanowiska, bo mimo żwawej palby na prawo i na lewo, nie widział lisiego ogona. Drugi kontent ze siebie i ze swej broni, z miotu i ze stanowiska, inny tłómaczy jak może chybiony strzał gąszczem, odległością lub inną niedogodą. Ostatecznie ośm lisów i kilka zajęcy wynoszą z miotu. Dalsze mioty różny dały rezultat, w jednym jeszcze padło 7 lisów, w innych jeden lub dwa i coś zajęcy, wreszcie i rogacz przyszedł pod lufę, drugi postrzelony uszedł.

Ogólny rezultat, licząc w to znalezionego na drugi dzień zająca i lisa: 20 lisów, 14 zajęcy, rogacz i 3 jastrzębie na strzałów 80*).

Daj Boże, aby tak zawsze!

Z Antonin na Wołyniu w listopadzie.

(Łowy z psami.)

Polowania z psami gończymi odbywały się tej jesieni bardzo pomyślnie i z wielkiem ożywieniem w Antoninach, majątku hr. Józefa Potockiego.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że psiarnia antonińska jest dziś jedną z najpierwszych w kraju. Wprawdzie konkurencya na tem polu jest u nas bardzo słaba i oprócz gończej psiarni hr. Wł. Branickiego, hr. A. Berga, o innych nie słyszeliśmy, niemniej, sądząc po rezultatach, porządku, w jakim odbywają się polowania i widoku psów, sądzimy, że sfory antonińskie mogą wytrzymać porównanie nawet z bardzo dobremi francuskiemi i angielskiemi.

Psy antonińskie wyrodziły się obecnie, jak się to często zdarza w rodzie gończych, na odcień gatunkowy miejscowy, sui generis.

Lat temu dziesięć, gdy hr. J. Potocki zakładał swoją psiarnię, sprowadzone zostały z Francyi różne ogary, używane do polowań par-force w kniei, następnie importowano fox-houndy i te dwie odmiany zostały łączone z sobą, a przez czas i odradzania się już z powstałych typów ustaliła się psiarnia, poniekąd samoistna.

Dziś, wraz z młodemi, znajduje się w Antoninach do sześćdziesiąt gończych. Wzrost tych psów jest średni, budowa silna, włos krótki, kolor przeważnie ciemno-brązowy, podpalany, gdzie niegdzie biała odmiana, uszy opuszczone ale nie bardzo. Od tego ogólnego typu odróżnia się parę oryginalnych bretońskich gryfonów, pokrytych długą prostą rudą sierścią. Niektóre psy są prawie białe w żółte łaty, ale te są w mniejszości. Gończym towarzyszy zwykle fox-terrier, dla włażenia w jamy.

Hundsmanem od lat kilku jest Francuz Pillot, a pierwszym dojeżdżaczem, również młody Francuz Duchatel, który od niedawna służy w Antoninach.

Psy zachowują się w polu z wielką karnością, idą pomiędzy końmi dojeżdżaczy w zbitej masie, niesforowane

---

*) Pomimo obrony lisów przez szanownego korespondenta ze względu na pożądaną emocyę myśliwską, wykazuje stosunek ubitych zajęcy do lisów, że w hoszańskiej kniei jest ich przecież za wiele. *Przy. Red.*

i nawet od tropu dadzą się zawrócić, gdy zachodzi tego potrzeba.

Psiarnia ściga głosem silnie, idzie szybko i potrzeba dobrego konia, aby módz być wciąż przy niej. Psów biorą w pole 24 — 26 i przeciętnie puszczane są za dwoma, trzema zającami.

Pościg zwykle trwa od 15 — 30 minut i po tym przeciągu czasu, o ile niema dłuższych pauz (check'ów) przy zmyleniu lub straceniu tropu, zając literalnie tężeje przed psami i skoki mu „martwieją", lub przysiada, nie mogąc się więcej poruszyć.

Remont stajni łowieckiej, zważywszy szybkie tępo polowania i ciężki, bardzo sfalowany grunt, nie jest łatwy. Właściwy cięższy hunter irlandzki, przyzwyczajany do zielonych łąk „pięknego Iranu", gęstych przeszkód i zapór, które mu pozwalają poniekąd odpoczywać, na Antonińskich „czarnych" polach męczyłby się bardzo. Do polowania Antonińskiego trzeba raczej konia lekkiego, sprężystego, któregoby górzyste czarnoziemy nie zamęczały i któryby po dłuższym galopie miał dosyć siły aby przesadzić rów lub wdrapać się i skoczyć na ścianę z ziemi. Podobnemi ścianami odgradzoue są pola.

To też konie myśliwskie hr. J. Potockiego są to przeważnie anglo-araby, bardzo szlachetne, lub importowane, lżejsze huntery. Ulubionym koniem hrabiego jest obecnie z własnej stadniny 5-cio letni gniady ogier „Tambour" po „Paganinim" i matce anglo-arabskiej. Trzeba widzieć, z jaką lekkością suchy ten i muskularny źrebiec mknie po oziminach i orankach, przesadza rowy i wały. Młodziutka hrabina, która podziela sportmańskie gusta swego męża i włada koniem doskonale, dosiada najczęściej rosłej „Orissy", rodem z Galicyi, po „Captaine". Dla hrabiny została sprowadzoną kasztanowata sznytowa klacz z Anglii, lżejszy hunter, nazwy „Lady Mary", ale jak wiele hunterów zamorskich klacz ta grzeszy nierównością, przytem dla niezdrowia musiała być oszczędzaną.

W ogóle wszystkie konie, przeznaczone tak dla gości, jak i dojeżdżaczy, są bardzo wyrobione. Gdy się napotyka przeszkodę „możebną", a główna rzecz, aby ją zdala rozpoznać, należy koniowi nie przeszkadzać, lecz puścić go na nią śmiało, a on już wie, co mu robić wypada.

Tej jesieni miałem przyjemność polować dwukrotnie w Antoninach. Pierwszego dnia psy sforsowały dwa zające, a drugiego dnia również dwa; trzeci tegoż dnia po bardzo twardym pościgu literalnie „zbliżał się" już do psów i nagle spadła mgła, przez którą o krok nic się nie widziało, przeszkodziła pomyślnemu rozwiązaniu pościgu.

Owe mgliste zakończenie dnia było jedynem przypomnieniem jesieni i dni Hubertowych. Zazwyczaj w czasie polowań panowała tak piękna, słoneczna pogoda, że doznawało się prawdziwego złudzenia, że to początek jesieni, a nie jej koniec.

Krajobraz wołyński pod jasnymi promieniami słońca wydał mi się zupełnie odmiennym od tego, który mi się utrwalił w pamięci wówczas, gdy dokoła było szaro, ponuro i mglisto. Obecnie ciemno-zielone, gęste oziminy mieniły się pod światło tęczowemi barwy i perliły od kropli stopniałego, rannego szronu. Na oziminach pełno życia, pasą się konie i bydło włościańskie. Owe kudłate, karłowate poneyki wołyńskie, szczególniej widziane zdala, są rzeczywiście więcej podobnemi do niedźwiedzi lub dzików najeżonych, niż do „szlachetnego przyjaciela człowieka", jak Buffon określa konia.

Siła ich musi być bardzo ograniczona, gdyż zwykły wózek chłopski ciągnie aż czwórka, a do pługów, jak widzieliśmy, zakładano po pięć i siedm koni.

Wprawdzie czarnoziem może być ciężki do uprawy, ale ze zwartemi i nieprzepuszczalnemi glinami nie może pójść jeszcze w porównanie. Galopując po czarnych podorykach, można z łatwością ocenić rodzaj ziemi i koń pomimo jesiennej pory i koniecznej wilgoci nie zapada też w nich i nie tonie. Miejscami grunt jest tak silnie sfalowany, że koń pod górę wspinać się musi, a na spadkach należy się kłaść na tył siodła, aby przez łeb nie przelecieć. Parę razy w kotlinach widzieliśmy dropie, które na nasz widok podrywały się ciężko. Psiarnia antonińska, polując od września, wzięła z temi zajęcami, cośmy ścigali, 23 sztuki i jednego daniela, który ze zwierzyńca puszczony był do lasu. („*Jeździec i Myśliwy.*")

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Chrzanowie, majętności pana Brunona Loewenfelda, odbyło się w dniach 3. 4. i 5. listopada polowanie na którem mimo deszczu i innych niesprzyjających warunków ubito 490 zajęcy, 2 lisy, 5 rogaczy, 2 bażanty, 2 cietrzewie, 10 kuropatw i 1 kszyka.

Polowanie w Chrzanowie należy do najpiękniejszych w zachodniej Galicyi, a nawet w tak bogatym w zwierzynę powiecie Chrzanowskim.

Składają się na to wyjątkowo pomyślne warunki terenu, ale przedewszystkiem umiejętne chodowanie zwierzyny i znakomite prowadzenie polowania przez właściciela pana Loewenfelda.

Główną jednak atrakcyą Chrzanowskiego polowania są cietrzewie, których dla tego tylko tak mało tym razem padło, że opuszczono najlepsze mioty cietrzewie dla braku czasu.

Myśliwi nie żałowali jednak tego, obiecując sobie tem większe rozkosze myśliwskie podczas toków, które w Chrzanowie należą do najpiękniejszych w kraju. *Dr. F. P.*

— W Turce, u pana Jakóba Agapsowicza, odbyło się polowanie w dniu 31. października b. r. Knieja Turczańska, która ma już ustaloną sławę jednej z najpiękniejszych na całem Pokuciu, nie zawiodła i w tym roku naszego oczekiwania. Polowanie, prowadzone wzorowo przez szanownego gospodarza, dało następujący rezultat: w 32 strzelb 21 rogaczy, 33 zajęcy i 8 lisów na 158 strzałów.

Leopold Łysakowski.

Z Królestwa Polskiego.

— Zarząd Księstwa Łowickiego, należącego do dóbr koronnych, przysyła nam urzędowe sprawozdanie z łowów dworskich, które się tam w lasach lubocheńskich, radzickich i skierniewickich w czasie od 14. września do 12. października (tj. od 2 do 30 września st. st.) odbywały.

Wedle wykazów, podających dzień za dniem wynik polowania, ubito w tym czasie 2.234 sztuk zwierzyny łownej. W liczbie tej znajduje się 80 jeleni, z których 26 ubito na wychodne, na rykowiskach, a 54 przy obławie, między ubitymi zaś naliczono 1 ośmnastaka, 2 szesnastaki, 16

czternastaków, 28 dwunastaków, 18 dziesiątaków, 7 ósmaków, 2 z nienormalnemi wieńcami, 1 szpiczaka i 5 łań. Z innej zwierzyny padło: 6 danieli, 122 kozłów, 52 sarn, 6 odyńców (w tem jeden ważący po nad 10 pudów), 11 macior, 9 warchlaków, 21 lisów, 1.311 zajęcy, 3 indyki, 492 bażantów, 81 kuropatw, 26 słonek, 8 cietrzewi i 6 sztuk ptactwa drapieżnego.

— W Nowo-Dworach, gubernii Łomżyńskiej, majątku Elżbiety hr. Starzeńskiej, odbyło się dnia 19. i 20. października polowanie, na którem ubito 93 zajęcy, 7 lisów i kozła. Panie brały także udział w polowaniu, a niektóre odznaczyły się nawet celnymi strzałami.

— W Radoszewnicy, w Piotrkowskiem, u pana A. Ostrowskiego polowano w ciągu października z chartami i w kilka godzin uszczuto 12 zajęcy.

— W Trawnikach, w Lubelskiem, majętności pana J. Michalskiego odbyło się z końcem października polowanie z chartami. W półczwartej godziny ruszono 14 zajęcy, a z tych tylko czterech graczy zdołało się wymknąć, 10 zostało na polu. Myśliwych było siedmnastu na koniach półkrwi z stada sernickiego lub snopkowskiego.

— W Zegrzu, u księcia Macieja Radziwiłła, polowano w dniach 10, 11 i 12 listopada.

W polowaniu brali udział, oprócz ks. Macieja Radziwiłła i jego żony, namiętnej myśliwej, oraz dwóch synów, ks. Michał Radziwiłł z Nieborowa, p. J. Fenshawe, ks. W. Czetwertyński, p. L. Kronenberg, W. Reszke, p. Radoszewski, S. Rzewuski, bar. Kapher, p. Rembieliński, p. J. Komierowski, Bonnet i t. d.

Łowy powiodły się wybornie. Pierwszego dnia ubito 140 zajęcy, 5 kozłów i 8 lisów; nazajutrz padło: 110 zajęcy, dwa kozły i 1 lis, a trzeciego dnia zabito: 60 zajęcy, 10 bażantów i 2 lisy.

Trzeciego dnia pokazały się dziki przed nagonką, ale wyszły boczną linią bez strzału.

KRONIKA.

Wydawnictwo kalendarza „Łowca“ opoźniło się nieco wskutek rozmaitych nieprzewidzianych trudności. Obecnie jest już jednak druk ukończony i ci z szanownych naszych czytelników, którzy złożyli na kalendarz prenumeratę, otrzymają go w tych dniach franco.

Dalsze egzemplarze, o ile zapas wystarczy, są do nabycia w Administracyi „Łowca“, w magazynie broni A. Dzikowskiego i w księgarni W. Gubrynowicza i Schmidta po cenie 1 złr. 20 ct. za egzemplarz.

O liczbie kuropatw, które przy polowaniach, w Morawii padają, myśli się u nas zawsze z nietajoną zazdrością. Jest bo czego zazdrościć! Na polowaniu w Trebiczach, majętności hr. Józefa Waldsteina, w dniach 13 i 14 września b. r., przyczem brało udział siedmiu myśliwych, a między nimi arcyksiążę Franciszek Ferdynand Este, padło niemniej ni więcej tylko 2962 sztuk kuropatw!

Niespodziewany gość. Z gubernii Mińskiej donoszą o następującej przygodzie na polowaniu w jednej z tamtejszych kniei. Myśliwi zapuściwszy ogary, otoczyli knieję czekając na zająca. Lecz zamiast zająca, wprost na gospodarza domu wybiegł niespodziewany gość, ogromny niedźwiedź. Myśliwy, zapomniawszy zapewne, że fuzya nabita śrutem, strzelił. Raniony zwierz, po wystrzale, dał kilka susów i wsiadł na niefortunnego strzelca. Ten ostatni, czując się w łapach bestji, woła o pomoc. Szczęśliwym trafem kilkanaście psów wsiadło na niedźwiedzia i dalejże rwać go na wszystkie strony. Wówczas jeden z myśliwych, podbiegłszy, dwa razy strzelił do niedźwiedzia. Ten z kolei stchórzywszy puścił ofiarę, która z pod niedźwiedzia wydostała się bez żadnego szwanku, i dawaj zmykać. Nemrodzi tylko zdaleka słyszeli jak niedźwiedź wpadł do rzeki i, przepłynąwszy ją wgramolił się na brzeg i zemknął.

Gniazda rybie. Wody waszyngteńskie obfitują w ryby z rodzaju *gouramis*, które, zupełnie jak ptaki, ścielą sobie gniazda. W czasie kładzenia ikry, ryby te łączą się w pary, przyczem każda wybiera sobie miejsce między morskiemi porostami i tam buduje wielkie gniazdo, dochodzące do sześciu stóp w średnicy. Budowa zabiera pięć do sześciu dni czasu, poczem samica kładzie 800 do 1000 jajek. Gdy jajka są już na wykluciu, rodzice z bohaterską iście odwagą chronią gniazdo przed napastnikami, póki potomstwo nie ujrzy światła dziennego.

Dziki w Niemczech. Jak się urządza w Niemczech polowania na „dziki“, maluje wybornie następująca notatka, zamieszczona w Berlińskim *Tagblacie* z dnia 10. listopada:

„Zapas dzików, tj. odyńców (!) macior i warchlaków, których potrzeba co wtorku i piątku do królewskich polowań, sprowadzają przeważnie z olbrzymich lasów w Duberowie koło Koenigswusterhausen. Transport dzików odbywa się na kołach w odpowiednio urządzonej skrzyni. Instaluje się je w przeznaczonym miocie, dopóki nie zostaną na myśliwych puszczone. Stan dzików w Duberowie jest nadzwyczajny, co się tem tłumaczy, że karmienie dzików i wśród najcięższej zimy forsownie jest prowadzone. Odbywa się ono w ten sposób: fura, wyładowana wysoko kukurydzą, żołędziami, kasztanami, kartoflami i tpd. przejeżdża tam i nazad przez lasy, podczas gdy leśny dmie w róg, którego głos po całym lesie się rozchodzi. Na ten sygnał zbiega się ze wszystkich stron dzicza drużyna i tłoczy się z niebezpieczeństwem życia koło wozu.“

Czy nie byłoby właściwszem oddawać takie „dziki“ pod nóż „damskiego“ rzeźnika, niż pod lufy myśliwych?

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Kopernika 30.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.